Nr. 46. Lwów, Niedziela dnia 14. Listopada 1875 r. **Rok II.**



TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKÓWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLVI.

Wybór uzupełniający do krajowej Rady szkolnej.

Przerywamy nasze uwagi o pensjonatach żeńskich, aby poświęcić kilka słów sprawie ważnej a nie cierpiącej zwłoki.

Po ustąpieniu p. Juljusza Starkla z krajowej Rady szkolnej, i objęciu przezeń kierownictwa nad zakładem drohowyzkim, Rada gminna miasta Lwowa widzi się w konieczności poszukania nowej osobistości, która powołana na opróżnioną posadę, dawałaby rękojmię, że podoła zadaniu, jakie spełnić będzie obowiązaną.

Zakres działania naszej Rady szkolnej, mimo świeżego rozporządzenia cesarskiego, nie jest tak mały, jak by to dziś nie jednemu zdawać się mogło. Jakkolwiek wydarzył się fakt, który żadną miarą cieszyć nas nie może, mimo to z drugiej strony musimy przyznać, że Rada szkolna, nawet w tych warunkach, w jakich dziś się znajduje, może jeszcze zdziałać wiele pożytecznego.

Wprawdzie organizacja szkół średnich i wyższych zakładów naukowych nie należy do jej atrybucyj, ale za to pozostała ona wszechwładną panią szkół ludowych, a kto wie czy w naszem położeniu nie jest to rzecz najważniejsza.

W szkołach średnich i w uniwersytetach, młodzież wyrabia się sama; w szkołach ludowych, nauczyciel wyrabia młodzież. Do pierwszych uczęszczają przeważnie synowie rodziców należących do stanu średniego, a więc wynoszą już z domu pewne poglądy i przekonania; do drugich wchodzą tylko dzieci włościańskie, nie otrzymujące w rodzicielskim domu żadnych przykładów, żadnych nauk. Jeżeli dodamy, że ciemnota stanu włościańskiego jest naszem złem największem, prawdziwem nieszczęściem narodowem — to musimy przyznać, że instytucja, mogąca w znacznej mierze przyczynić się do usunięcia tego zła, jest instytucją nadzwyczaj ważną.

Lecz aby zło usunąć, trzeba nie tylko chcieć, ale i umieć. Słowa i dobre chęci nie wystarczają— potrzeba czynów.

Dzisiejszy skład naszej Rady szkolnej jest tego rodzaju, że nie równie łatwiej mogłaby się ona zająć radykalną reformą szkół średnich, a nawet uniwersytetów, niżeli szkół ludowych. W jej łonie zasiadają przedstawiciele nauki i wiedzy, duchowieństwa, Wydziału sejmowego, słowem wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy nie tylko teoretycznie, ale także praktycznie są obznajomieni z instytucją szkół ludowych. Dzięki zdolnościom i pracy bezustannej, p. Juljusz Starkel doprowadził do tego, że ze sprawą szkół ludowych obznajomił się wszechstronnie, ale po jego ustąpieniu kto się nią zajmie?

Nie dość być profesorem uniwersytetu lub mieć stopień akademicki, nie dość mówić o oświacie ludu i być jej przyjacielem; aby korzystnie pracować dla szkół ludowych, trzeba być obznajomionym z ich życiem wewnętrznem, z ich wadami — prawie trzeba mieć praktykę nauczyciela ludowego. Teorja nieraz wiedzie na manowce; dobrą drogę wskazuje tylko doświadczenie.

Zapatrując się z tego stanowiska na naszą Radę szkolną, i pragnąc by jej działalność przynosiła coraz pożyteczniejsze owoce, wynurzamy nadzieję, że Rada gminna miasta Lwowa zastanowiwszy się dobrze nad swoim obowiązkiem, wybierze takiego radzcę, który da wszelkie rękojmie, że dla szkół ludowych będzie pracował gorliwie i z prawdziwą rzeczy znajomością.

Nam nie ideologów potrzeba, ale ludzi praktycznych.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

XIV.

Dawszy o sobie taką charskterystykę, golnął Iwan Iwanowicz trzeci stakan wódki, i dopiero teraz lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz zasidatelską... rumieniec wódczany!... bo z rumieńcem wstydu miedziana twarz tego czynownika moskiewskiego nie spotkała się nigdy.

— Twoja szkapa!... *suki syn jewrej!...*— mówił usiadając wreszcie — niekoniecznie zła!... i prawda że lekko niesie dosyć!... Zkąd ty psie niewierny przyszedł do takiego haraszego konia?...

— A prawda!... to mi koń!.. Marszałek Szóstacki daje mi za niego czterdzieści dukatów.

— *Sorok czerwieńców!... Jej Bohu!... to ładne dzięgi takie czerwieńce!...* aż się dusza do nich śmieje. Jabym chciał mieć takiego konia, co by ja za niego wziął *sorok czerwieńców!*

— To ze stajni pańskiej koń!... to nie tutejszy.

— Nie tutejszy?... *a od kawo?...* — zapytał ciekawie zasidatel, i wyciągnął uszy, o których powiedzieć zapomnieliśmy, mówiąc o wszystkich długościach Iwana Iwanowicza; a tymczasem stosunkowo, miał on ze wszystkich długości swoich, najdłuższe uszy, i to tak w fizycznem jak i w moralnem znaczeniu..,

— Ja go dostał aż z Galicji!...

— Z Galicji!... z za kordonu!... Basia, podajno jeszcze dziengielówki!...

Golnął znowu, rumieniec mu pociemniał, a oczy iskrzące zwrócił do pieca, co znaczyło właśnie, że je z ogromną uwagą wcisnął w stojącego przed nim żyda.

— Z za kordonu!... panie Mortku!... *A znajetie wy!* Mortko konstantynowski, że to kontraband!... *a znajetie wy*, czem to pachnie kontraband!... *wot to* śledztwo gotowe!...

— *A znajetie wy!* — przemówił Mortko z wyraźniejszym kpiącym przyciskiem; dla kogo ja sprowadził tego konia, Iwan Iwanowicz?

— *Ja nie znaju!...*

— Ja sobie pomyślał, że *nasz czastnoj prystaw* nie ma własnych koni, że musi zawsze jeździć *powózkami na wsie śledztwa*... a szkoda!... bo nasz Iwan Iwanowicz, to *prekrasnyj czołowiek!*... Tak ja sobie *dumał!*...

— *Śliczna dumka!* — przemówił zasidatel. — *Wy prekrasno* gadacie!...

— Ja was Iwan Iwanowicz bardzo kocham! — mówił Mortko dalej z wyrazem rozczulenia stopniowego, dochodzącego coraz wyżej, aż do najkomiczniejszego patosu... — Ja przepraszam wielmożnego pana że ja tak poufale śmiem was nazywać!... ale ja wam bardzo przychylny. .

— *Nu, niczewo, niczewo!*... i ja was lublu Mortku konstantynowski!... *nuże gawary dalej!*...

— I ja ten kontraband dla was uczynił!...

— Dla mnie?... Iwana Iwanowicza?...

— Nu dla was!.... weźcie tego ślicznego kontraband!... — dodał rozczulający się coraz więcej Mortko, i w zapale czułości podał obie ręce Moskalowi, które ten przyjął i uścisnął najserdeczniej.

— Wy jesteście *lubieżnyj jewrej!*... żebym zdechł jak pies!... Wy poczciwy *sukin syn!*... I marszałek dawał wam za niego *sorok czerwieńców!*...

— Pod *chajrem* dawał!... spytajcie go sami!...

— A jużci go spytam!... *sorok czerwieńców!*... Wy Mortku!... ja wam mówię... wy mój serdeczny *druh!*... — odrzekł Iwan Iwanowicz z niemniejszem rozczuleniem!...

Nagle się zaśmiał najgrubszym basem, a zaśmiał tak szczerze. że się aż za boki porwał, i rzekł rubasznym tonem:

— *A szto ja wam skazał*, ty psie niewierny!... Jaki ja mam rozum. jak się *wódki* napiję!... Ot ja sobie tak przyjechał w gościnę!... i już jest kontrabant!... i już jest *sorok czerwieńców*... ja chciał już powiedzieć: jest już koń!...

— A prawda!... — potaknął mu Mortko, zadowolony najzupełniej, bo mu się udało wódką i kubanem przysposobić zasidatela jak najlepiej do swoich zamysłów.

— No ale mohorycz się należy!... — dodał Mortko — może teraz wiszniaku?

— *Niet!*... Dziengielówki!...

— No to pijcie, ale prędzej!... bo słyszę turkot!... to już wasza panna jedzie!... poznaję po szybkim biegu moich koni, które posłałem po pannę sowietnikównę.

— No! dawaj żywo!...

I palnął sobie Iwan Iwanowicz piąty stakan, i tyle tylko miał czasu, żeby obetrzeć bezwąsne usta, i potrząść kędzierzawe bakenbarty, co było u niego pojawem zalotnych zamysłów. Już wchodziła przez drzwi pana sowietnikówna, Olga Onufryjewiczówna Flieders.

Jeżeli zasidatela z sowietnikówną, jak się już łatwo domyśleć, i o czem nawet wspomniał już sprawnik w rozmowie z rotmistrzem — łączył serdeczny stosunek, wyznać potrzeba, że gruntował się na ogromnej harmonji. Nie mówię tu o harmonji duszy, bo nie znamy jej jeszcze, lecz była wielka harmonja fizyczna. Panna Olga harmonjowała bowiem z nim tak długością jak i suchością swojej wysokiej figury. Twarz miała szczególnie długą; jedyną na niej szerokość stanowiły usta, nadto hojnie rozcięte, co przecież wcale nie szpeciło twarzy, zresztą młodej, świeżej, upiększonej najgłówniej przez oczy wielkie, ciemne. szczerością odznaczone. Taż sama szczerość i otwartość, a nawet dobroduszność była głównym wyrazem twarzy, a nawet krasiła usta za szerokie, uśmiechem wesołym, który zdawał się ich nigdy nie odstępować. Szerokie zaś usta przyroda nie darmo jej snać dała, bo niezwykła gadatliwość zdawała się być sowietnikównej kardynalną · właściwością, co już poznać było zaraz można przy przywitaniu głośnem i wielomównem, jakiem obdarzyła i zakochanego zasidatela, i stare gospodarstwo. Była w przywitaniu zupełna równowaga zapytań i odpowiedzi, któremi nie czekając na drugich sama sobie jak najwyraziściej odpowiadała.

Iwan Iwanowicz stał przed nią z równą czułością jak respektem, i na nawał słów odpowiadał nawałem ucałowań ręki, znakomicie potężnej.

Sowietnikówna oświadczyła wprawdzie z góry, że nie ma czasu, bo brat i gospodarstwo ją czekają, że chce coprędzej zrobić wybór pomiędzy rybami, ale niemniej przeto usadowiła się wraz z wielbicielem na sofie, i zrobiła wyznanie, że jest przy wielkim apetycie.

— I ja także, śliczna panno Olgo! — zawtórował wielbiciel.

Dla przygotowania apetytowi drogi, wychyliła dwa spore kielichy różannej wódki, przyczem udało się zasidatelowi przemycić gładko szósty z kolei stakan dzięgielówki. Mortko z Basią i sławną Ryfką zajęli się ustawianiem owych z wanienki wydobytych butelek, które panna Olga przepatrywała ze znajomością rzeczy, wymieniając trunki zastawionych płynów.

Zanim przyniesiono jadło, panna Olga zmiatając srebrne talerze z piernikami, niepróżnowała tymczasem, i między piernikiem a makagigą, umiała wcisnąć nie mało słodkich słów, do wielbiciela zwróconych, z dodatkiem skarg na brata, że od niejakiego czasu jakoś krzywo patrzy się na konkury zasidatela, i jej ku niemu niemniej czułe afekta.

Opisem całej biesiady nudzić nie myślę czytelników moich, ani też spisywać to wszystko, co pnnna Olga przez ten czas nagadała. Im więcej jadła i piła, tem głośniejsze i rzewniejsze stawały się jej skargi na niepoczciwą srogość brata...

— Przecie on wie — mówiła trącając się lampką z Iwanem Iwanowiczem — że wy mnie kochacie!... no, i że ja was kocham, i sam dawniej był za naszym związkiem. Ale odkąd mu wlazła do głowy wnuczka rotmistrza, powtarza mi ciągle że on mnie lepszego znajdzie męża...

— Lepszego odemnie!... — rozpaczliwie przemówił zasidatel, i jeszcze rozpaczliwiej popił wiszniakiem. — Ach ja nieszczęśliwy!...

— Nie macie się czego obawiać!.., Ja was kocham szczerze Iwan Iwanowicz..,

Rzekła to z wyrazem, który naprawdę dodał nawet jej ustom szerokim prawdziwej piękności. Znać było szczerość prawdziwą w jej słowach i ich przycisku.

— Ja was kocham!... Bóg widzi że prawda! — odpowiedział zasidatel z takim przyciskiem, że po prawdzie uwierzyć trzeba było, że nawet prystaw moskiewski może jeszcze kochać.

I cóż wreszcie dziwnego!... Dlaczegóż i u Moskali nie ma istnieć szczera miłość.

— Ale wnuczka rotmistrza jest bardzo bogata!... to on jej już się nie popuści — dodał zasidatel.

— W tem bieda nasza! — odrzekła Olga.

— Nie tak bogata, jak pan sprawnik myśli! — zagadł Mortko, który się koło nich kręcił ciągle, i rozmowie z wielką przysłuchiwał się uwagą.

Jak łatwo się domyślić, Mortko nie bez celu sprowadził u siebie zakochanych. Za ich pomocą spodziewał się on zniszczyć plany sprawnika, i co było rzeczą najważniejszą, przekupić go. aby nie zrobił użytku ze zdradzonej przez służącego Piotra tajemnicy o stosunkach z Warszawą. Mortko jako żyd, znał doskonale wszystkie stosunki domowe sprawnika, i wiedział dobrze, że największy wpływ na niego miała najukochańsza siostra Olga. Wiedział także, że Iwan Iwanowicz po części wtajemniczony jest w konszachty szpiegowskie Pawła Onufryjewicza. Jego więc przekupić, i Olgę przekupić, a przez nich sprawnika, było zamiarem poczciwego arendarza.

— Jakto, nie bogata? — zapytała ciekawie Olga.—Wszakże rotmistrz jest bardzo bogaty!...

— Bogaty i nie bogaty!... — odrzekł Mortko. — On ma kapitały w papierach znaczne, ale ich nie da wnuczce, tylko w takim razie, jak pójdzie za mąż za syna marszałkowskiego..

— A gdzież są te jego papiery?—pytała Olga ciekawie.

— Ba! w tem sztuka!... on ich nie trzyma u siebie!... ja sam dobrze nie wiem gdzie złożone, chociaż już jestem na śladzie i za parę tygodni wiedzieć będę. A póki nie wiemy gdzie są te papiery, to co przyjdzie panu sprawnikowi z tego, choćby go zadenuncjonował. Dajmy na to, że jak zadenuncjonuje, i rotmistrza zabiorą, to co z tego przyjdzie panu sprawnikowi, choćby przymusił Konstancję, by poszła za niego? Zaskale skonfiskuje rząd...

— A to prawda!... szelma *jewrej* ma słuszność...

— Pana rotmistrza papiery bankowe zostaną schowane, a pan sprawnik dostanie za żonę gołą pannę.

— A to prawda!... a jabym musiała jeszcze kłaniać się gołej bratowej, bo to zepsute pańskie dziecko!...

— Ale te papiery!... — badał dalej zasidatel.

— Ba! już ja się o nich dowiem... ale mi trzeba czasu! — odpowiadał Mortko, któremu pan Stanisław wyraźnie powiedział, aby na każdy przypadek starał się przynajmniej odwlec niebezpieczeństwo.

Żyd postępował dalej z nadzwyczajną zgrabnością. Dolewając ciągle i schlebiając zakochanym, tłumaczył im, że dla samego sprawnika byłoby lepiej, gdyby wziął gotówkę do kieszeni od rotmistrza...

— Teraz go można obedrzeć... ja sam pomogę!... — mówił żyd.

— A ileby dał naprzykład?! — pytał Iwan Iwanowicz.

— A nam co z tego przyjdzie? — zagadła panna Olga, w której mimo całej dobroduszności, w razach ważnych odzywała się żyłka godnej córy czynownika moskiewskiego...

— To już moja rzecz!... — szeptał żyd, nalewając na dokończenie biesiady mocnego czaju jamajka, którego zasidatel w roztargnieniu niby, coraz sobie dolewał.

I zaczęły się szeptane targi. Nie będziemy za niemi szli krok w krok.

— Dziesięć tysięcy rubli!... — wymówiła Olga po dłuższym targu, i połknęła ślinkę..

— Będzie bogaty wasz brat!... ale my!...

Tu szepnął żyd i kochankowi i kochance, targując się osobno z nimi na czerwieńce, których, jak widzieliśmy, Iwan Iwanowicz był zapamiętałym lubownikiem...

— A pannie osobno na rękę! — szepnął do Olgi tak że Iwan Iwanowicz nie dosłyszał. — Na szpilki dwieście dukatów!...

Dosyć że przy piątej szklance czaju, panna Olga obowiązała się wszystkiemi sposobami brata namówić, aby wziął pieniądze...

— Ale idzie o to, aby z ręki do ręki!... Ja mu dam pieniądze!... — powiedział Mortko — a pan sprawnik da mi ten papier, co mu wykradł Piotr, i sprzedał sprawnikowi..

— Bądź spokojny Mortkuniu! — mówiła panna Olga przy pożegnaniu. — Już ja sobie dam radę z bratem... będzie *pomir...* ale...

— A głównie! — odrzekł żyd po cichu — aby zatrzymać go, nim zadenuncjonuje do rządu guberskiego... bo jak to zrobi, wszystko przepadnie...

— Chybaby już posłał... — odpowiedziała znowu Olga — ale nie!... nie!.. tego jeszcze nie uczynił... o ja wstrzymam i wszystko zrobię.. ale...

— Com przyrzekł, to dotrzymam... a tymczasem... aby mi panienka wierzyła...

Tu Mortko wściubił jej do ręki pakiecik z dwudziestu dukatami... Basia zaś wyniosła pyszną chustkę bagdacką, i dała sowietnikównej, pod pozorem, że zimne są wieczory, ściskając jej rękę pokryjomo.

— A wy panie — szepnął Mortko zasidatelowi do ucha — dotrzymujcie słowa...

— Jak tylko przyjadę, napiszę donos do niższego sądu, że ani u rotmistrza, ani u pana Wydry garbarza, nie ma nic podejrzanego; że to tak tylko żydzi puścili w świat fałszywą wiadomość, przez złość że im rotmistrz arendy nie chciał puścić... Zobaczycie jak ja to prekrasno napiszę... tylko się pierwej dzięngielówki napiję... Ja dla was Mortku wszystko zrobię! — dodał, i wyciągnął rękę, na pożegnanie niby, ale właściwie spodziewał się, że mu coś jeszcze wlezie do łapy. I nie omylił się.

— To ną zadatek — szepnął Mortko — dziesięć czerwieńców... A siodło wasze także!...

— Wy jesteście *wierutny!...* poczciwy!... *skatyna!...* — rzekł mu jeszcze Iwan Iwanowicz na znak czułego pożegnania.

I jeszcze na pożegnanie uciął stakanik jamajki.

Sowietnikówna patrzała na to przez szpary, i tak była rozczulona, że nawet przy ostatniem słowie pożegnania, pozwoliła się wielbicielowi uścisnąć, i sama najczulej odścisnęła...

A gdy wyjechali każdy w swoją stronę, Mortko zacierał ręce, a pan Józef wyszedł z drugiego pokoju, gdzie wszystko słyszał, i spojrzał za odjeżdżającymi wyrazem pełnym pogardy.

— Podli!... podli!... i tacy nami rządzą!.. Daj Boże! — dodał z westchnieniem serdecznem — by się nam udało wyratować...

— Naszego poczciwego rotmistrza! — dokończył Mortko.

— I pannę Konstancję!.. — dodał Józef w myśli, i śliczny rumieniec wystąpił mu na bladą twarz.

Konstancja była dla młodego Izraelity ideałem najwyższej doskonałości, ideałem Polki prawdziwej, która i jemu, biednemu dziecięciu żydowskiemu, była siostrą.

XV.

Minął już tydzień od owego zjazdu w Łaszczyńcach. Rotmistrz przez cały ten czas nie był w domu, zkąd wyjechał, jak sam mówił, w sprawach pieniężnych. Konstancja przepędziła cały ten czas w usposobieniu nadzwyczaj niespokojnem. Wyjazd nagły dziadka twarz smutna i pomięszana Stanisława przy ostatniem widzeniu się, wyrobiły w niej przy samotnem dumaniu jakieś usposobienie gorączkowe, w którem trapiły ją niepewne przeczucia.

— A może Stanisław oświadczył się... dziadek mu odmówił... a on nie chciał mi tego powiedzieć!... — przemykało biednej dziewczynie po głowie.

— Nie! to być nie może!... Dziadek mnie tak kocha!... i Stanisława tak kocha!.. tak go szacuje nawet! Nieraz mi to mówił, że takiego syna miećby pragnął — myślała innym razem.

— Lecz czegoż Stanisław nie przychodzi? — pytała znowu sama siebie pełna niepokoju...

Darmo biegała do kapliczki, i spoglądała ku znanym oknom pomieszkania Stanisława; okna były szczelnie zamknięte, a w garbarni zdawała się panować cisza zupełna.

— Przecież to jego okna, w których widziałam go nieraz stojącego!... i patrzącego ku brzozom i kapliczce!... — mówiła sama do siebie.. a serce dodawało: „I ku mnie!“ — A teraz czyliż nie widzi mnie, że ja tu razy dziesięć na dzień przybiegam, i cały dzień prawie przesiaduję!... Niewdzięczny!... niepoczciwy!... A przecież ja wiem że mnie kocha!... Może go nie ma w domu... a może słaby... bardzo słaby...

I co tchu popędziła do domu, i wyprawiła do miasteczka z poselstwam do Stanisława...

— Powiedz! — mówiła do dziewczynki, która już czekała na panienki rozkazy — powiedz! — powtórzyła na pół tęskna, a na pół gniewna, nie wiedząc sama, co ma mu kazać powiedzieć — powiedz panu Stanisławowi, że ja... niespokojna o dziadka!... że... ja... chcę... żeby tu zaraz przyszedł! — dodała gwałtownie.

Dziewczynka uśmiechnięta poleciała, i za pół godziny zadyszana wróciła z wiadomością, że przed pół godziną wyjechał pan Stanisław, nikomu nic nie powiedziewszy...

— Mnie nie pożegnał mówiła sama do siebie.

— Gniewam się!... — dodała zadąsana.

Biedna Konstancja!... chciała się gniewać, — lecz mogła tylko płakać...

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

RZĄDY BURBOŃSKIE.

Duca di San C... miał okazały pałac w Neapolu, odziedziczony po przodkach, mały majątek, który zaledwie wystarczał na skromne utrzymanie, syna, wielkiego ladaco, i córkę, którą od kolebki skazał na życie klasztorne.

— Moja córka — mawiał do Don Gaetana, codziennego swego gościa, a spowiednika dwóch klasztorów żeńskich — nie mając posagu, po mojej śmierci zginęłaby na świecie.

— Dla tego święte mury klasztoru będą dla niej najbezpieczniejszem schronieniem — kończył pobożnie Don Gaetano. — Życie religijne jest szczęściem największem!

Innego atoli zdania musiała być Corinna, której losem rozporządzano samowolnie, bo zaledwie doszła do lat, w których budzi się serce, wyglądając często na ulicę, zauważyła młodego człowieka, który całemi godzinami wpatrywał się w jej okno. Mowa oczu, doprowadzona w południowych prowincjach włoskich do prawdziwej doskonałości, przyszła im w pomoc, i młodzi ludzie wbrew woli starego księcia i pobożnego Don Gaetana, prędko zrozumieli się i pokochali.

Jak, gdzie i kiedy, tego nie umiał mi określić *Signor* Pietro, który mi ten epizod opowiadał, ale mimo to nie przestanie być prawdą, że młodzi ludzie dość często widywali się ukradkiem. Na jednej z takich schadzek przysięgli sobie wieczną miłość i wierność wieczną.

— Wpierw umrę niż zostanę żoną innego! — rzekła Corinna.

— Wpierw zginę, niż cię zdradzę! — odpowiedział Francesco.

Nadszedł jednak dzień, w którym ojciec postanowił przygotować jedynaczkę na los, jaki jej zgotował. Zamknąwszy się z Corinną w swoim gabinecie, mówił jej najpierw długo o dawnej świetności swego rodu, która wskutek przewrotów politycznych w ostatnich czasach prawie całkiem upadła, a wynurzając nadzieję, że syn jego będzie mógł jeszcze dobić się fortuny i znaczenia, jeżeli cały majątek ojca tylko na niego spadnie, zakończył uwagą, że córka domu tak znakomitego powinna z miłości dla ojca i bra-

*

ta zrobić z siebie ofiarę, i przywdziać welon zakonny.

— Moje dziecko — rzekł książę, całując córkę w czoło — panna z takiego jak ty domu, nie może poślubić pierwszego lepszego człowieka, a równy nam nie weźmie ciebie, bo nie masz posagu... Za tydzień rozłączymy się moje dziecię...

Ojciec wyszedł, nie żądając odpowiedzi — a córka siedziała jak zpiorunowana.

Wieczorem tego dnia widziała się z kochankiem. Długo płakała na jego piersi, długo z żalu nie mogła słowa przemówić, ale gdy nareszcie ból ustąpił miejsca spokojniejszej rozwadze, gdy w żyłach dziewicy gorąca krew zakipiała, podniosła czoło odważnie i patrząc w oczy młodzieńca rzekła stanowczo:

— Tyś biedny i bez tytułu, mój drogi Francesco, więc mój ojciec nie przystałby nigdy na nasz związek! Ale ja się nie boję życia!... nędza nawet przy twym boku będzie mi miłą. Jeżli więc kochasz mnie prawdziwie, jeżeli przysięgi twoje nie były czczem słowem — uciekajmy!

— Uciekajmy! — powtórzył młodzieniec pełen uniesienia.

Stanęło na tem, że nazajutrz o zwykłej godzinie nad wieczorem mieli zejść się w miejscu umówionem, potem wsiąść w porcie na statek sardyński i odpłynąć do Genui.

Działo się to na dwa lata przed wypędzeniem Burbonów z Neapolu.

Corinna wróciwszy do domu, złożyła najpotrzebniejsze swoje rzeczy, a nazajutrz rano wybiegła do kościoła, w którym Don Gaetano był kapelanem i spowiednikiem. Wychowana przez matkę bogobojną, i otoczona od dziecka atmosferą religijną, postanowiła wpierw się wyspowiadać, a potem dopiero uczynić krok, mający stanowić o całem jej życiu.

Don Gaetano siedział w konfesjonale.

Zaczęła się spowiedź cicha, długa. Ze szczerością dziecka, nie umiejącego prawdy ukrywać, opowiedziała swoje rozpaczliwe położenie i swoje zamiary. Don Gaetano słuchał nie przerywając, a gdy mówić przestała, rzekł łagodnie, z namaszczeniem:

— Wprawdzie wola ojca świętą być powinna, ale ponieważ moje drogie dziecię, pokochałaś tak gorąco tego człowieka, więc miłości tej nie potępiam, gdyż widocznie Bóg jej sobie życzył. Bez woli Wszechmocnego na świecie nic się nie dzieje.

Corinna wolniej odetchnęła.

— Nie idzie atoli za tem — ciągnął Don Gaetano — bym usprawiedliwiając twoją miłość, doradzał ci także ucieczkę, o której marzysz. Boże uchowaj! Opuszczenie domu ojca, który tak gorąco kocha cię moje dziecię, mogło by ściągnąć na twoją głowę gniew i karę Opatrzności.

— Prawda, mój ojcze, ale cóż japocznę? — szepnęła dziewczyna, chustką oczy zasłaniając.

— Przedewszystkiem nie powinnaś wątpić, że na świecie są ludzie miłosierni... Wprawdzie nie ma ich wielu, ale zawsze są... Otóż do tych nielicznych i ja należę... Chcę ci pomódz i pomogę, ale wpierw musisz mi przysiądz, że święcie spełnisz każdy mój rozkaz.

— Przysięgam, ojcze!

— Dobrze; a teraz posłuchaj. Młodzieńca którego kochasz, znam bardzo dobrze, a nawet wiem gdzie mieszka. Chłopiec to prawy, ale niestety biedny i z pochodzenia mieszczańskiego... Słuszna więc twoja obawa, że gdyby oświadczył się ojcu o twoją rękę, ten drzwi by mu pokazał. O tem nie można przeto ani myśleć. Jest atoli inna droga, którą nierównie łatwiej i pewniej zdążycie do celu. Oto potrzeba abyście się połączyli ślubem bez wiedzy ojca, a potem on rad nie rad będzie musiał uznać świętość związku i ustąpi przed czynem spełnionym.

— O mój ojcze! — jęknęła Corinna — słowa twoje są balsamem dla serca zbolałego... ale któż nam w tem dopomoże?

— Ja moje dziecię, ja przez pamięć na twoją matkę, którą czciłem jak świętą... Zaufaj mi, i uczyń co ci powiem. Za godzinę Francesco otrzyma odemnie list, aby po zachodzie słońca przyszedł do mojej celi... ty zaś wybiegnij z domu... koło furty klasztornej będę czekał... weź tylko gęstą woalkę, aby cię nikt nie poznał... potem zaprowadzę cię do niego i dam wam ślub. A teraz drogie dziecię idź i milcz jak grób!

Gorącemi łzami wdzięczności Corinna zmyła ręce czcigodnego kapłana.

Po zachodzie słońca, korzystając z nieobecności ojca, który o tej godzinie wychodził zawsze do kasyna, pobiegła do furty klasztoru, którego czarne mury rysowały się o kilkadziesiąt kroków.

* * *

Upłynął tydzień.

W pałacu księcia San C... wszyscy byli przerażeni. Od ośmiu dni księżniczka zginęła bez wieści, i nikt nie umiał powiedzieć co się z nią stało. Służba płakała, bo Corinna była dobrą panią, a stary książę to złorzeczył sobie myśląc, że uciekła z obawy przed klasztorem, to biegał po ulicach Neapolu wypytując o nią każdego, to wreszcie wyjeżdżał na kampanję aby się dowiedzieć, czy jej przypadkiem nie porwali bryganci, którzy w nadziei sowitego okupu nie raz dopuszczali się takich zbrodni wśród murów samej stolicy.

Wszystko okazało się bez skutku.

Don Gaetano przychodził jak dawniej, dając niekiedy do myślenia, że biedna dziewica najprawdopodobniej musiała się utopić. Ale w takim razie gdzież jej ciało?

Francesco biegał jak szalony. I on nic nie wiedział, i on szukał jej napróżno.

Była niedziela. Drzwi od kościoła, należącego do klasztoru, w którym Don Gaetano był kapelanem, otworzono o szóstej rano. Pierwszą osobą, która weszła do świątyni, był chłopczyna dziesięcioletni. Postąpiwszy kilkadziesiąt kroków ukląkł na płycie marmurowej, która zamykała jeden z kościelnych grobowców. Zaledwie jednak zmówił pierwsze słowa modlitwy, usłyszał pod sobą jakieś jęki żałosne, stłumione. Przerażony wybiegł z kościoła wołając:

— Umarli wstają!

W mgnieniu oka kilkotysięczny tłum zebrał się na ulicy; wkrótce znalazła się także żandarmerja, która przytrzymawszy chłopca kazała się zaprowadzić do miejsca, z kąd tajemnicze dobywały się głosy.

Książę, który właśnie stał w oknie, widząc takie zbiegowisko, pochwycił rewolwer wiszący nad łóżkiem, i dziwnem przeczuciem miotany wybiegł na ulicę.

Do świątyni wpadł w chwili, gdy po odwaleniu płyty marmurowej, żandarmi wynieśli z podziemia jakąś kobietę. Książę raz tylko spojrzał i poznał! — Corinnę!

— Córka moja! — ryknął jak lew, roztrącając tłum ciekawy.

Na ten głos ona zamarłe podniosła powieki, i z głuchym jękiem omdlała w ramionach ojca.

— Dziecko moje! — wołał ojciec, budząc w niej tchnienie ostatnie — co to jest! Kto sprawcą tej zbrodni?!

— On... więził mnie... zagłodziłam się dobrowolnie... a gdy zobaczył że już konam... wrzucił mię w nocy do tego podziemia... wilgoć mnie ocuciła...

— Kto taki?!

— Gaetano...

Ostatnie to było słowo — Corinna skonała.

Książę zimne zwłoki złożył na marmurach, chwycił się za głowę, i jak tygrys z klatki wypuszczony rzucił się przez kościół do mieszkania kapelana.

Wszyscy stali w osłupieniu, nikt nie wiedział co począć.

Don Gaetano siedział właśnie przed zwierciadłem włosy soaie układając; on jeszcze nie wiedział, co się w kościele stało. Książę otworzył drzwi i nic nie mówiąc pięć razy strzelił do niego. Widząc, że morderca jego córki we własnej krwi się tarza, przyłożył sobie rewolwer do skroni, i ostatnim strzałem życie sobie odebrał.

Don Gaetano nie zginął. Wyleczywszy się z ran ciężkich, umiał przy pomocy władz burbońskich, które natychmiast wzięły go w swoją opiekę, tak wszystko przedstawić, że arcybiskup mianował go kanonikiem, król wybór potwierdził, a w Rzymie uważano go odtąd za gorliwego kapłana, który napadnięty niewinnie, w obronie wiary o mało życia nie postradał.

W rok później Francesco przebiwszy go sztyletem, rzucił się w Abruzzy, aby miesiąc uganiać się z brygantami, a potem zginąć na rusztowaniu.

* * *

Niech nikt nie sądzi, aby opowiedziane epizody były utworami wybujałej wyobraźni. Oba są prawdziwe, oba słyszałem z ust ludzi zasługujących na wszelką wiarę.

Takie skutki były rządów burbońskich. Czy w Europie mogły one istnieć w drugiej połowie wieku XIX? (C. d. n.)

AMAZONKI

w podaniu i dziejach.

Według Wilhelma Strickera opracował

Wł. Ordon.

(Ciąg dalszy).

Ferd. Kortez wzmiankuje w czwartem sprawozdaniu swojem o nowym świecie, iż znajduje się tam wyspa, zwana Cagneta, zamieszkana jedynie przez kobiety, niekiedy tylko łączące się z mężczyznami. „Te niewiasty — kończy — chłopców się pozbywają, a dziewczęta wychowują nader starannie, i obfitują wielce w złoto i drogie kamienie.“

Największa rzeka Ameryki południowej, poznana w 1589 r. pierwszy raz przez Fran. d' Orellana, pozyskała najprzód od niego nazwisko, wnet jednak nazwano ją Amazon, ponieważ ten, który ją odkrył, wraz z wiadomością o tem przywiózł do Europy wieść, iż wybrzeża jej zamieszkuje horda wojowniczych kobiet, nietylko noszących strzały i łuki i uprawiających na wła-

sną rękę swoje pola, ale żyjących niezależnie i w oddaleniu od mężczyzn. Dzieci pochodzące z rzadkich odwidzin mężczyzn sąsiedniego plemienia, jeżeli chłopcy, oddawano ojcom, jeżeli dziewczęta, przy matkach zostawały. Ciągle taż sama nuta, powtarzająca się uparcie!

Antonjo Herrera*) twierdzi, że Orellana powziął te wiadomości od jednego z kacyków przy ujściu rzeki Napo, od którego się także dowiedział, iż dalej w dół rzeki niezmierna moc złota się znajduje. Orellana na tę wieść posunął się o kilkaset mil naprzód — i tu zwrócił jego uwagę inny kacyk, nazwiskiem Opuria, iż powinien strzedz się wojowniczych kobiet, zwanych w tamtejszem narzeczu „Conia-puyara“ (potężne niewiasty), które wkrótce napotka, bo liczba jego ludzi nie będzie przeciw nim wystarczającą. I w istocie, Hiszpanie, przepłynąwszy jeszcze kilkaset mil, powitani zostali przy wylądowaniu gradem strzał indyjskich, i zauważyli pomiędzy wrogami 10—12 kobiet, które nietylko że broniły się zapamiętale, ale co więcej, na wszelki sposób zapalały swych towarzyszy do dzielnego oporu, a bojaźliwych i usiłujących ujść z pola walki, potężnemi maczugami mordowały. Wedle opisu Orellany niewiasty te były wysokie i silnej budowy ciała, a przytem pięknych rysów twarzy; długie warkocze opasywały im głowę; nie miały na sobie zgoła żadnej odzieży, a za broń, oprócz owych maczug służył im jeszcze łuk i strzały. Siedm z nich legło w walce, i wtedy dopiero Indjanie tył podali.

Zupełnie zgodna z tem wiadomość o pobycie Amazonek nadeszła w tymże samym czasie do Europy z posiadłości hiszpańskich, położonych bardziej na południe. Wkrótce po niej, w r. 1541, udał się Cabezo de Vega w górę Paragwaju, a ztąd w okolicę Peru na poszukiwanie „Złotego kraju.“ Podwładny mu naczelnik Hernando de Ribeira, którego Cabezo w tymże samym celu wysłał na brygantynie z 252 ludźmi w okolicę jeziora Xarayes, położonego między 15—20 stóp szerok. płd. odesłany został przez miejscowe plemiona do Amazonek, które wedle ich zaręczeń, miały posiadać tak dużo białego i żółtego metalu, iż nawet siedzenia i sprzęty domowe z nich wyrabiały. Siedliskiem zaś ich miała być zachodnia strona jakiegoś wielkiego jeziora, zwanego przez nich „Dom słońca“, bo tam słońce zapada. Tak przez plemiona indyjskie odsyłani coraz dalej i dalej, po wielomiesięcznej podróży przez zalane po większej części wodą okolice—wreszcie głodem i chorobami znękani — musieli Hiszpanie nawrócić.

Ściśle w sto lat po Orellanie, podanie jego stwierdził Acugna*), który w 1639 wyruszył z Peru na poszukiwanie „złotego kraju.“ Zaręcza on, iż od wszystkich plemion, jakie nawidził, słyszał o istnieniu Amazonek; szczególniej zaś Tupinambasowie podali mu jak najdrobniejsze szczegóły o siedzibie i obyczajach tych osobliwych niewiast. I tu następuje tak już znana cała litanja baśni starych pisarzy. To tylko godne uwagi, iż jakiś stary Indjanin miał go zapewniać, że będąc dzieckiem jeszcze, towarzyszył ojcu swemu w czasie odwidzin u Amazonek i był świadkiem, jak wszystkich chłopców ojcom oddawano.

Niewątpliwie, przy tych wszystkich plagjatach z klasyków, nieporozumienia i podsunięte Indjanom odpowiedzi grały znaczącą rolę.

Podczas podróży, którą Condamine odbywał w latach 1744—1745 z biegiem Amazonki, słyszał od rozmaitych pokoleń opowiadania potwierdzające istnienie Amazonek. Opowiadania te w głównych szczegółach zgadzały się z sobą najściślej, nawet w powtarzającem się wciąż twierdzeniu, iż wojowniczki te zmieniły obecnie siedlisko swoje i przeniosły się nad Negro, czy też inny dopływ Amazonki, bardziej na północ. W forcie St. Joachim nad Rio Branco, dowiedział się nawet Condamine od jednego z Indjan, że w Coari znajduje się stary człowiek, którego ojciec widział Amazonki. Na nieszczęście człowiek ten już umarł i Condamine znalazł tylko syna jego Punilhę, naczelnika plemienia, od którego się dowiedział, iż dziad jego nieraz widywał przy ujściu Cuchivary płynące Amazonki, i słyszał, iż przybyły tam od ujścia Cayamy, ze strony południowej, pomiędzy Tefe i Coari. Cztery z tych kobiet opowiadający sam widział; jedna z nich miała na ręku dziecię przy piersiach, wszystkie zaś popłynęły w dół Rio Negro. Z drugiej strony Coari przytoczono Condamine'owi też same okoliczności, a u *Topayos*'ów znalazł osobliwe kamienie, znane tam pod nazwą kamieni Amazonek. Tu także powiedziano mu, że kamienie te są spuścizną po ojcach, którzy je od „Cougnantainse-cuma“ tj. od „kobiet bez mężów“ dostali. U nich kamienie te mają się znajdować w obfitości. Condamine podnosi kłamliwość Indjan, wyraża zdanie, iż pytania cudzoziemców nauczyły Indjan przytaczanych potem przez nich baśni, i wreszcie zwraca uwagę na sprzeczność, iż bezpierśne kobiety karmić mogły. W trzydzieści lat po Condamin'ie (1774) poparł portugalski astronom Ribeiro podane przez Condamine'a wieści na podstawie podróży po Amazonce i jej północnych dopływach. Ribeiro znalazł człowieka, który przypomniał sobie dobrze Punilhę i opowiadania jego o Amazonkach.

Sir Walter Raleigh powiada w swoim „Opisie Gujany“ Roz. 5. „Z tem królestwem Gujany na wschód sąsiadują Amazonki, od których wielka tamtejsza rzeka otrzymała imię swoje. Są to kobiety, nie znoszące mężczyzn pomiędzy sobą. Od dziecięctwa zaprawiają się do wojny i z nieprzyjaciółmi swymi bezustannie i okrutne toczą walki. Przez miesiąc jednak w ciągu roku, podobno w kwietniu, łączą się z mężczyznami. Wówczas zjeżdżają się na jedno miejsce wszyscy sąsiedni królowie — i po wybraniu przez królowę Amazonek jednego z przybyłych, o resztę inne rzucają losy. Przez ten miesiąc królowie i Amazonki nie rozstają się ani na chwilę. Weselą się, tańczą, skaczą, jedzą i piją do woli, a po jego upływie wracają do swoich krajów. Dzieci pochodzące z tych związków, jeżeli to synowie, Amazonki odsyłają wraz z bogatym podarkiem ojcom, jeżeli zaś córki, pozostawiają je przy sobie. Niewiasty te słyną z mnogości złota, które otrzymują od sąsiadów w zamian za pewne zielone kamyki.“

Obrazek dołączony do powyższego rozdziału przedstawia mężczyzn powieszonych na drzewach za nogę, przeszywanych strzałami i jednocześnie pieczonych na wolnym ogniu przez Amazonki.

(C. d. n.)

*) „Historja general de los hechos de los Castellanos en las islas y tierra firme del Mar Oceano“ 1492 do 1554. 4 tomy. Madryt, 1601—1615, 1728—30. A także: „Ulrich Schmidels von Straubing wunderbare Schiffart.“ Wydanie Levina Hulsiusa. Norymberga. 1599. Rozd. 17. str. 53.

*) „Christopher d' Acugna, voyages and discoveries in South-America“. Londyn — 1698.

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Dokończenie).

V.

Tego dnia po objedzie Katarzyna wróciła do Petersburga; wjazd był tryumfalny, odbyła go konno, otoczona naczelnikami sprzysiężenia. Armja weszła do miasta uwieńczona kwiatami i majem, oznaki zachwycenia ludu mięszały się z okrzykami radości żołnierzy, pospólstwo cisnęło się do carowej, całując jej ręce, a gdy stanęła przed zamkiem, powitało ją wyższe duchowieństwo prawosławne. Tu zsiadła z konia i całowała się w twarz z arcybiskupami. Wiedząc zaś, jakim sposobem najłatwiej przyciągnąć do siebie lud, okazywała się w ciągu kilku dni z wielką pobłażliwością. Była następnie w senacie, gdy zapadały wyroki w kilku sprawach. Dworskie otoczenie utrzymywała w ścisłych karbach przyzwoitości, zachowując się sama z taką swobodą, że nikomu na myśl przyjść nie mogło, iż dostała się przemocą na tron przed kilku dniami zaledwo.

Wszyscy posłowie zagranicznych mocarstw przybyli do niej z powinszowaniem, na co każdemu umiała jakąś grzecznością odpowiedzieć.

Pierwszym czynem jej atoli był rozkaz wywiezienia natychmiast do fortecy Szlisselburskiej ks. Jana, *) którego wzięto z domu, gdzie się ukrywał. Następnie przystąpiła z całą hojnością do rozdania nagród naczelnikom sprzysiężenia: Panin został pierwszym ministrem, rodzinie Orłów nadała tytuł hrabiowski, a Grzegorza awansowała odrazu na jenerał-porucznika, udzielając mu w dodatku order Aleksandra Newskiego. Mnóstwo oficerów gwardji awansowało o jeden stopień, a 24ech dostało dotacje wielkich obszarów z tysiącami chłopów. Ale finanse państwa nie wystarczały, by prócz wódki i piwa można było coś więcej dać szeregowcom, i to ją często niepokoiło. I tak zdarzyło się we trzy dni po zamachu, że jakiemuś pjanemu żołnierzowi przyśniło się, iż carowę wywieziono; zbudziwszy się, w największej trwodze, zaczął biegać po koszarach wrzeszcząc z całego gardła: że Holsztyńcy i Prusacy porwali carowę. Pułk chwycił za broń i rzucił się ku zamkowi, domagając się głośno, aby carowa natychmiast się ukazała.

Doniesiono o tem dyżurnemu jenerał-adjutantowi; wtedy hetman Razumowski otworzywszy okno, począł zapewniać żołnierzy, że carowa jest na zamku, ale znużona spi teraz spokojnie. Ci jednak słyszeć tego nie chcieli i nowym krzykiem domagali się ją oglądać.

Hetman nie wiedząc co począć, wszedł do sypialnego pokoju Katarzyny, by ją zbudzić. Budząc wszakże, dodał, że czyni to wcale nie dla tego, aby jej coś nieprzyjemnego zwiastować.

— Wiedz, że niczego się nie boję! — odpowiedziała mu pogardliwie — ale cóż to za wypadek zmusił cię wejść do mnie?

— Żołnierze myślą, żeś porwana z zamku i domagają się widzieć cię!

— Cóż robić, będę musiała zaspokoić ich ciekawość. — Rzekłszy to, natychmiast wyskoczyła z łóżka, wyszła na balkon, a podziękowawszy żołnierzom za ich troskliwość, odprawiła ich zadowolonych.

Katarzyna chełpiła się z miłosierdzia okazanego urzędnikom, oddanym carowi, a jeżeli

*) Zamordowanego później przez Katarzynę. (P. Tł.)

niektórych usunęła od obowiązków, za to tylko trzech kazała uwięzić: Hudowicza, Wołkowa i Milgunowa; hr. Woroncowę odesłała do ojca, wzbroniwszy robić jej jakiejkolwiek krzywdy. (Później została wysłaną o 1000 wiorst od Moskwy na wieś). Wszyscy dworzanie cisnęli się do niej starając się na wyścigi pozyskać jej względy i robili to, nie wiedząc, że jej serce dawno już było zajęte.

Nadzwyczajne wyszczególnienie, jakie spotkało Grzegorza Orłowa, było oczywiście wynikiem miłości a nie zasługi. Ks. Daszkowa najpierwsza odkryła tę tajemnicę. Zazdrość prędzej obrazi, jak miłość własna, a co najgorsza, że nie lubi ukrywać tajemnicy. Nieukontentowanie swoje okazała przeto księżna, oświadczając Katarzynie, że niegodnie sobie postąpiła, zabierając jej kochanka. Księżna obnosiła tę wiadomość pomiędzy wszystkich swoich znajomych, i tem samem gotowała sobie nieszczęście. Dopiero teraz odkryły się oczy dworakom i przewódcom sprzysiężenia; oburzenie ich było ogromne, gdyż przekonali się, że pracowali dla tego, kogo chcieli mieć za podrzędne narzędzie. Chcąc się pocieszyć, mogli chyba to powtarzać, że z nich wszystkich Orłów był największym intrygantem. Katarzynę niepokoiły prócz tego inne powody.

Oto niektóre pułki już zaczynały szemrać i żałować zdrady popełnionej wobec prawego cara; lud rossyjski łatwo przechodzi od okrucieństwa do miłosierdzia; zaczęto więc wzdychając opowiadać o nieszczęsnym jego losie, zapominając na razie o krzywdach, kaprysach i słabości charakteru, a pamiętano tylko dobre przymioty oraz nieszczęście, w które car popadł. Majtkowie nawet zaczęli wyrzucać gwardjakom, że ci sprzedali swego pana za kieliszek wódki i szklankę piwa. Oznaki buntu zaczęły coraz jawniej kiełkować, pozwalając się obawiać nowych rozruchów.

Kiedy to się działo w stolicy, wiadomości przywiezione z Moskwy, tembardziej zaniepokoiły carowę.

Główno-dowodzący Moskwy, otrzymawszy manifest Katarzyny, zebrał konsystujące tam pięć pułków, i uszykowawszy je na Krasnym placu, kazał zwołać lud, który tysiącami popłynął. Jenerał stanął pośród ludu, przeczytał głośno akt o wstąpieniu na tron Katarzyny II i skończywszy go wykrzyknął:

— Niech żyje imperatorowa Katarzyna II!

Lud i żołnierze odpowiedzieli jednak na to milczeniem. Wtedy powtórnie krzyknął, ale naród i wojsko milczało. Wojsko czuło się obrażonem, że gwardja tak zuchwale ośmieliła się rozporządzać tronem; wylękniony główno-dowodzący zawołał do siebie kilku oficerów i razem z nimi zaczął krzyczeć: niech żyje Katarzyna! Lud zaraz po tem rozszedł się, a żołnierzy odprowadzono do koszar.

Dla spółwinowajców wystarczyło i tego, aby zdecydować się na zupełne zatarcie śladów mogących ich niepokoić. Kto bowiem na drodze zbrodni popełnił jeden krok, ten nie wahając się zabrnie dalej.

Zapadł tedy wyrok śmierci na Piotra III. Gdy go wywożono z Petersburga, pod wpływem obietnic Panina, był dalekim od przewidywania swego losu. Mając nadzieję, że wkrótce będzie wysłanym do Niemiec, upraszał Katarzynę o swego murzyna, z którym się często bawił, o pieska, skrzypce, biblję i kilka książek, polecając, by jej powiedziano, że odepchnięty od świata złośliwością ludzką, odtąd postanowił żyć jak filozof. Pomimo to, żaden z tych przedmiotów nie został mu dostarczonym, a prócz tego natrząsano się z jego zachcianek filozoficznych i nie wywieziono go do Ropszy, jak było zapowiedziane, lecz do Moskwy, małego folwarku hetmana Razumowskiego, o czem nikt nie wiedział prócz główných spiskowych i przeznaczonych do pilnowania go żołnierzy.

Po sześciu dniach wszedł do Piotra III Aleksy Orłów, wraz z innym oficerem gwardji, Tiepłowym, i zapowiedziawszy mu prędkie jego oswobodzenie, prosili, czy nie dałby im czego na śniadanie. Natychmiast wniesiono wódkę i przekąskę; a gdy Tiepłow bawił cara gawędą, Orłow nalewał kieliszki, i do tego, który był przeznaczony dla Piotra dolał niepostrzeżenie trucizny, sporządzonej przez jednego podłego lekarza nadwornego. Nic nie podejrzywając car wypił kieliszek — i nie upłynęło dziesięć minut, gdy naraz uczuł ból gwałtowny. Orłów podał mu wtedy drugi kieliszek, lecz Piotr nie przyjąwszy począł wyrzucać mu jego zbrodnię i rozdzierającym głosem wołał o mleko. Gdy je podano, oba potwory, Orłow i Tiepłow, dolali i do niego trucizny. Na nowy krzyk rozpaczy, wpadł do pokoju nadzwyczaj przywiązany do cara kamerdyner. Piotr rzucił mu się w objęcia wołając:

— Nie dość, że mi zabrali tron rossyjski, ale oto chcą mi wydrzeć i życie!

Wtedy kamerdyner jął ich błagać za swego monarchę, lecz bezduszni złoczyńcy wypchnąwszy za drzwi niebezpiecznego świadka, zaczęli bić swoją ofiarę. (Kamerdyner natychmiast został wyprawiony do Petersburga, gdzie go pop zmusił do przysięgi z pocałowaniem krzyża, że przez całe życie nikomu nie będzie opowiadał, tego co widział. Ale czy sumienie go istotnie do tego obowiązuje?) Podczas bójki wszedł do pokoju młodszy Barjatinski, dowódca warty, ten sam, który później został posłem w Paryżu. Orłów powalił na ziemię cesarza, a przytłoczywszy mu piersi kolanami, jedną ręką ścisnął go za gardło a drugą trzymał za głowę. Barjatinski i Tiepłow okręcili serwetę naokoło szyi Piotra i pociągnęli za obydwa końce. Wtedy cesarz usilując wyrwać się, podrapał twarz Barjatinskiemu, i znak ten dość długo widać było na podłym złoczyńcy. Wkrótce atoli nieszczęśliwy Piotr III utracił siłę i mordercy wydarli mu życie. (Niesłusznie przypuszczało wielu, że Potemkin był tam obecnym; przeciwnie, nigdy nie mógł obojętnie słyszeć opowiadania tej historji a o tych potworach mówił z największą pogardą.)

Po dokonaniu zbrodni, Aleksy Orłów natychmiast konno pogalopował donieść Katarzynie, że Piotr III żyć przestał. Carowa odebrawszy tę wiadomość, ukazała się dworowi z twarzą zupełnie spokojną, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego. Następnie zamknęła się na dwie godziny do gabinetu i potajemnie naradzała się z Orłowym, Paninem, Razumowskim, Glebowym i innymi spólnikami. Rozchodziło się o to, czy należy natychmiast uwiadomić senat o śmierci cara, czy poczekać drugiego dnia. Wszyscy zgodzili się na drugie. Katarzyna miała zwyczaj jadać objad razem z wielu dworzanami. Otóż ani przy objedzie, ani wieczorem dobry humor i wesele nie odstąpiły jej ani na chwilę. Nazajutrz ciągle jeszcze udawała, że nic nie wie o zgonie męża, i dopiero podczas objadu kazała siebie o tem uwiadomić. Zaledwo jednak głośno jej to powiedziano, ze łzami w oczach i z głośnem łkaniem odskoczyła od stołu, a pożegnawszy zagranicznych posłów pobiegła do gabinetu, udając głęboki smutek, co trwało kilka dni.

Ogłoszono manifest, nacechowany hipokryzją i nieludzkością najzatwardzialszych zbrodniarzy, którego treść była następująca: że siódmego dnia po wstąpieniu na tron, carowa dowiedziała się, że cesarz dostał gwałtownej kolki, której dawniej często doświadczał; ażeby zadość uczynio świętemu obowiązkowi, jaki dyktuje zakon chrześcijański względem dbałości o życie bliźniego, rozkazała zaraz wyprawić do niego wszystko, co mogło mu ulżeć w tej chorobie; ale ku większej boleści, dowiedziała się wczoraj, tj. 6 Lipca, że Piotr III z woli Bożej przestał żyć; w skutek czego rozkazała wystawić ciało jego w Aleksandrowskim monasterze i tam je pochować. Równocześnie wzywa wiernych swych poddanych jako carowa i matka, by zapomniawszy o wszystkiem, oddali mu ostatnie honory, jako zmarłemu carowi i modlili się za spokój jego duszy... nadto by ten wyrok Wszechmocnego, uważano jako widome działanie Opatrzności, opiekującej się jej tronem i najukochańszą ojczyzną.

VI.

Ciało nieszczęśliwego Piotra III sprowadzone do Petersburga, spoczywało na katafalku przez trzy dni w cerkwi Aleksandra Newskiego. Ubrano je w mundur pruski i dopuszczano do ucałowania ręki nieboszczyka wszystkich bez wyjątku. Twarz cara mocno poczerniała, a krew nie tylko na delikatniejszych częściach twarzy powystępowała, lecz nawet zbroczyła rękawiczki na jego rękach. Trucizna była tak gwałtowną, że ci co go całowali w twarz, odchodzili z nabrzękłemi ustami. Spólnicy Katarzyny czuli dobrze, że te niebezpieczne oznaki mogą ich zdradzić, lecz nie mieli czasu zwracać na nie uwagi, będąc mocno zajęci uspokojeniem ogólnego buntu, który byłby był nastąpił, gdyby naród wiedział, że Piotr III żyje jeszcze.

Dzień pogrzebu cara, był dniem wyrzutów i rozpaczy dla mieszkańców całego Petersburga. Lud postępujący za ciałem nieboszczyka, obsypywał przekleństwami gwardję, wyrzucając jej przelanie krwi *ostatniego potomka Piotra Wielkiego.* Żołnierze holsztyńscy, zostający dotąd na swobodnej stopie w Oranienbaumie, jakkolwiek rozbrojeni, pośpieszyli na ten pogrzeb ponury, by ze łzami odprowadzić swego monarchę na miejsce wiecznego spoczynku. Rossjanie nie widzieli teraz w nich spółzawodników, lecz wiernych i nieprzedajnych żołnierzy, z którymi podzielali smutek i nienawiść.

Na drugi dzień po pogrzebie, Katarzyna kazała nieszczęsnych Holsztyńców odprawić do ojczyzny. Lecz zaledwie fregata odpłynęła z nimi o kilka wiorst od Kronsztadu, gdy zaczęła zanurzać się w wodę; fala morska kilku z tych nieszczęśliwych wyrzuciła na skały, widocznie atoli tylko dla tego, by dostarczyć złośliwemu admirałowi Tałyzinowi przyjemności zagłodzenia tych nieszczęśliwcyh. Admirał zostawił ich, pod pozorem, że nie ma prawa nikogo z nich ocalać bez najwyższego pozwolenia, po które wypadało posłać aż do Petersburga...

Niezadługo cała Europa usłyszała o buncie w Rossji, wszyscy monarchowie dowiedzieli się

o środkach jakich użyła Katarzyna dla zdobycia tronu, lecz nieważając na to, uznali ją samowładną cesarzową Wszech Rossji...

(Koniec manuskryptu).

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

II.

Jeszcze w morzu.

„Le milieu apparait tout d' abord comme le regulateur suprême des phénoménes, agent de modification lorsqu'il varie, de stabilité s'il reste constant." *Quatrefages.*

„Każde zwierzę przedstawia sumę życiowych jednostek, z których każda, zupełny charakter życia w sobie zawiera." *Virchow.*

Jeżelibyś chciał dalej szanowny czytelniku przejrzeć niezgłębione przepaście morskie, jeszcze byś wiele takich ustrojów poznał, któreby cię i budową i szczególnem swem życiem zadziwiły!

Głębie morskie bowiem obok lepkiej galaretowatej monery, twardej i nieruchomej gąbki wszelkich barw możliwych, potwornie wielkich i zadziwiająco małych kręgowców, posiada nieobliczone skarby dla nauki, niezmierne pole do badań, nieznane, niewidziane na ziemi postacie zwierzęcych ustrojów, które dziwną swą budową bawiący oko kalejdoskop przedstawiają, zmuszając zarazem do zastanawiania się nad mądremi prawami architektury zwierzęcej, nad trafnem tych praw zastosowaniem do medium, w którem zwierzę przebywa!

Najbliżej z gąbką jest spowinowaconym koral, ten sam co go nosisz piękna czytelniczko w pysznej swej broszy, ten sam, co wyrastając z głębin morskich w olbrzymich kształtów drzewa i nieraz z pod powierzchni wód ciekawie wyzierając, nagle tajemniczej wyspy jest początkiem! A koral ten prawdopodobnie z gąbki wapniowatej (calcispongiae) się rozwinął w skutek wyższego różniczkowania swych organów i tkanin, tak jak grzebieniec (ctenophora) i polipopławy (hydromedusae) z bezszkieletowych gąbek powstały.

Gromada korali to już nie zwierzokrzewy, lecz raczej zwierzokwiaty (anthozoa). Ich wspaniałe nieraz, w szczególny sposób rozgałęzione i ukształtowane pnie, to nieznanych cieplarni podzwrotnikowych kwiatów pyszne okazy, którym brak tylko zapachu, by dwa zmysły nasze w zupełny błąd wprowadzić. Jak gąbek budowa jest chwiejna i nie stała, na pozór żadnemi prawami nieograniczona, tak przeciwnie korali symetryczna i niewzruszona. Albo są czteroramienne (tetracoralla) tj. kiedy promienisto rozłożonych około głównej osi korala jest cztery jednorodnych ramion, czyli antymer, albo sześcioramienne (hexacoralla), gdy antymer jest sześć, lub wreszcie ośmioramienne (octocoralla), gdy ośm jednorodnych odkrawków ciała jest w kształcie promieni do głównej osi (podłużnej) ułożonych. A wszystkie działy, których osobniki tak do kwiatu są podobne, wszystkie tem więcej mamią oko niedoświadczonego, iż podobnie do gąbki, stale przytwierdzone są do dna morskiego, wszystkie są nieruchome jak kwiaty!

Rozmaitość kształtów całego pnia koralowego, jego budowy wewnętrznej i zewnętrznej, ułożenia się pojedynczych gałązek, w gałązkach antymer i metamer, czyli promienistych odkrawków ciała i następujących po sobie dzwon, wzdłuż gałązki od jednego pędu bocznego do następnego idących, zresztą barwa, wielkość, podział pracy każdego z pojedynczych kształtników, pędów etc. jest tak wielką, tak podziwu godną i zdumiewającą nawet uczonych zoologów, iż najznamienitsi z nich, ciągłemi badaniami tych ustrojów, przyczynili się do zupełnie dokładnego ich poznania.

I tak, im silniej się oś główna (podłużna) w stosunku do bocznych wyrostków rozwinęła, im wyżej po nad dno morskie właściwy pień koralowy wystrzelił z niekorzyścią dla bocznych jego pędów, tem wyraźniej na widownię występuje, odgrywając rolę właściwego osobnika; przeciwnie zaś im oś główna jest mniejszą, im więcej karłowatą się wydaje, a za to boczne pędy rozgałęzione i silne, słowem im więcej zwierzę posiada zbliżoną postać do krzaku, kwiatu, tem większe mamy prawo uznawać kierz taki za zbiór osobnych jednostek, za kolonję interesem własnym związanych osobników!

Morfologiczne podobieństwo korali z jawnokwiatowemi roślinami (phanerogamae), które na pozór jest bardzo wyraźne, potwierdza się po bliższem zbadaniu nawet w najmniejszych szczegółach, tyczących się indywidualizmu ustrojów. Kwieciem okryte drzewo, przedstawiające złożony pień (kolonję), w zupełności odpowiada płciowo rozwiniętej kolonji (pniowi) korali. Obydwa okazy są z pewnej liczby płciowych i bezpłciowych osobników złożone. Każdy kwiatek na drzewie, każdy „polip" korala, jego boczny wyrostek, pączek etc. każdy jest osobnikiem wyższego lub niższego rzędu, każdemu jest właściwa pewna działalność, czy to na korzyść swoją tylko, czy pnia całego, czy też na korzyść pewnej jego tylko części. A każdy z tych osobników tak u drzewa jak korala, złożony jest znów z pewnej liczby metamer, czyli członków, (dzwon) w następstwie wzdłuż podłużnej osi po sobie idących i antymor promienisto do tejże osi ułożonych. Każda zaś metamera i antymera, to zbiór organów rozmaitych rządów, każda z nich składa się z członków, a wszystkie „za podstawę swą mają komórkę, tego pierwszorzędnego osobnika!" Nie jest-że najzupełniejszem podobieństwo morfologiczne korala z jawnokwiatową rośliną?!

Tak korale jak grzebieniec i polipopławy należą do jednej wspólnej gminy żegawnic (acalephae albo cnidae). Wszystkie one, jakeśmy wyżej nadmienili, zbliżają się do gąbek szczególnie charakterystycznem ukształtowaniem kanałów pokarmowych, czyli układem żołądkowo - naczyniowym; różnią się jednak od gąbek i to bardzo, szczególnie polipopławy inaczej hydromeduzami zwane, których najprostsze okazy w wielkiej mnogości także w wodach naszych kontynentalnych (słodkich) się znajdują. Mam tu na myśli powszechnie znane stułbie (hydrae), czyli polipy rzeczne, które często w kształcie śluzowych ciałek, najczęściej zielono albo pomarańczowo, lub szaro, a nawet brunatno zabarwionych i zakończonych kilkoma chwytnemi ramionami w postaci nitek, do spodniej powierzchni liści rzęsowych są przyczepione, i z niemi pływają na powierzchni wody stawów, sadzawek etc. Każde z tych ramion chwytnych opatrzone jest na wolnym końcu ustami. Niektóre znów z żegawnic posiadając pewnego rodzaju pęcherzyki napełnione jadem, w wielkiej ilości po powierzchni swego ciała rozmieszczone, są niebezpieczne dla zwierząt i ludzi, mających z niemi do czynienia — jak n. p. żywłoga (physalia), której jad często o śmierć przyprawić może człowieka. Są to między jamochłonnemi zwierzęta, które pod względem podziału pracy i polymorfizmu, najlepiej nas przeświadczają. Leuckart pierwszy to podniósł u rurkopławów (siphonophora), u których istotnie podział pracy osobników rozwinął się do najwyższego stopnia doskonałości. Każdy osobnik ma stałemi granicami określoną pewną działalność, którą wypełnia na korzyść całej kolonji!

Tak samo rzecz się ma z hydropolipami (tabularia albo campanularia.) Ich życie, zasadza się na dążeniu do wspólnego celu, na solidarności i zgodnem wypełnianiu swych obowiązków przez pojedyncze osobniki, składające kolonje — a tak jest godne podziwienia, tak zdumiewające objawami nadzwyczajnemi, tak pouczające i warte naśladownictwa nawet przez nas — ludzi, istoty rozumne, że gdyby nie powagi naukowe, z których czerpiemy, moglibyście nas posądzić o autorstwo „tysiąca i drugiej" bajecznej nocy! Lecz klnę się na Leuckarta, Siebolda, Bronna, Schmidta, Huxley'a, Dujardin'a, na wszelkich niemieckich, francuskich, angielskich etc. zoologów i rzeczoznawców, że poznanie życia rurkopławów, hydropolipów i wszystkich im podobnych zwierząt, nie raz dla niezgodnej rodziny naszej — dla tej ludzkiej kolonji, byłoby wielką szkołą życia, a dla ambitnych osobników nawet najlepszą dyscypliną!!

Wyobraź sobie piękna czytelniczko i ty mężu, coś dumny, żeś „panem" familji — wyobraźcie sobie skromną familję zwierzokrzewu, gdzieś cicho i spokojnie w głębi morza żyjącą, a tak zgodną w zamiarach, tak iście pokorną i chcącą wspólnemi siłami dla dobra wszech razem i każdego z osobna współbraci pracować, że każdy z osobników podawszy rękę drugiemu, już jej nie puszcza nigdy. Jeden drugiego wspiera, jeden drugiemu pomaga. By ułatwić trudną pielgrzymkę żywota, następuje podział pracy, podział równy, sprawiedliwy, na indywidualnej zdolności każdego z osobników oparty. Zamiłowani wszyscy familji członkowie w równości praw i w republikańskiej formie rządu — nie wybierają naczelnika, nie ma u nich „pana" familji, wszyscy równi, z jednakowym wysiłkiem pracować muszą. Nieposłusznego, lub leniwca raz na zawsze postanowiono odtrącić od wspólnej nagrody za trudy — od używania darów natury, od życia. Opuszczony umierać musi. Jedną, jedyną tą karą zmusza spółka do pracy swych członków. Jeśli nie chcesz pracować — masz nie używać a wyrodkiem będąc, giń z własnej ręki! Czyż nie piękna zasada, godna naśladowania i w naszem społeczeństwie?!

Pień taki zebrany osobników, rośnie i wzmaga się, rozmnaża i ginie, wspólnie pracując, a każda gałązka jego, do innego przeznaczona jest celu. Są pewne tylko jako furażery działające. Ich zadaniem żywności dostarczyć. Są to po większej części owe długie, ruchome, chwytne ramiona do grabieży przydatne (tentakeln), one łapią z dalekich okolic zabłąkane resztki, marudeców do armji wymoczków należących, lub do innych podobnie drobnych tworów organicznych— łapią a silnemi ramiony pochwyciwszy, niosą swą zdobycz osobnikom, otworem ustnym opatrzonym. Tam inny znów osobnik, lub więcej ich

razem w grono połączonych biednemu wymoczkowi grób przygotowują.

Po ciemnych, długich a wąskich korytarzach swojego więzienia pchana prądem wody nieszęśliwa ofiara, wymoczek, wpada nagle pod ostry nóż kucharza, którego rolę znów inna grupa osobników zwierzokrzewu wypełnia — to jamochłonna, to coś na kształt żołądka. — Dość, że wymoczek zginął — a pokarmem z niego podzielił się koral, lub hydromeduza-polipopław!

Tam znowu nagle spostrzegamy u owych hydropolipów, których niektóre gałązki są opatrzone pewnego rodzaju pączkami tak, iż pączek ten doszedłszy do pełnoletności zostaje przez matkę—kolonję, usamowolnionym i oderwawszy się od niej w pięknej przedstawia się postaci parasola, lub kapelusza przezroczystego, opatrzonego długiemi wstęgami, pełniącemi funkcje ramion chwytnych. Po dłuższem badaniu tego oderwanego ustroju, dostrzegamy w nim szczytne zadanie rozmnożenia rodu swych życiodawców. I tak dziecię hydropolipa, stale przytwierdzonego do miejsca swego pobytu, jest naraz swobodnie przez czas niejaki pływającym pławem, zupełnie budową swego ciała różnym od pnia, z którego przez proste powstał pączkowanie. Lecz nie długa jego egzystencja, jako pływającego pławu, nie długa wędrówka! — Wnet traci swobodę ruchu, zmienia intermistyczne swe kształty i zostaje protoplastą rodu swych rodziców — zakłada kolonję hydropolipów, tych, do których przedtem sam należał jako członek jednej rodziny, któremu te ostatnie szczytną misję zasiedlenia morskich przepaści powierzyła! — I oto masz szanowny czytelniku obrazek z życia tajemniczo ukrytych w głębiach morskich zwierząt; podaję ci go, byś się zastanowił nad wielkiego myśliciela słowami, któreśmy na czele wypisali.

Do żegawnic należą jeszcze grzebienice, czyli żebropławy. Są to zwierzęta nie kształtu parasola lub kapelusza, lecz zwyczajnego ogónka, a przytem są przezroczyste jak kryształ najczystszej wody. Każde z nich posiada po ośm rzędów rzęs, czyli żeber grzebykowatych, które wzdłuż głównej osi ciała od gębowego utworu do odchodowego przechodząc, są przeznaczone nakształt skrzydeł u ptaka, płetw u ryby, lub nóg u ssaka, do poruszenia zwierzęcia. Ruch zaś żebropławu jest tak szybki i zwinny, iż w zawody iść może z ruchem każdego innego zwierzęcia! Za pomocą tych rzęs, czyli żeber, nagle kurczy się ciało żegawnicy, to znów rozszerza i znów kurczy, a tak kurcząc i rozszerzając z konieczności, z miejsca się porusza. Ruch ten nadewszystko potrzebny jest grzebienicy do wyżywienia się, za jego bowiem pomocą coraz nowy pokarm, coraz świeża woda przechodzi wzdłuż ciała tego zwierzęcia, pozostawia wewnątrz jego, co do pożywienia jest dlań niezbędnem, a wyrzuca przeciwległym ustom otworem niestrawione resztki pokarmu.

POEZJA.

Z książki

Pawła Bourget

„La vie inquiète"

Poezja! Poezja! Czyż wiecznie to owa
Kąpiąca się we łzach, płacznica grobowa?
Czyż uśmiech na uściech jej grzechem?
Czyż tej, co od wieków wzdychała już tyle,
Nie wolno, choć z rzadka, czasami, przez chwilę
Radości i szczęścia być echem?

Poezja! Poezja! Wiecznież to, na Boga!
Pytyjska wyrocznia, z wieszczego trójnoga
Poważne prawiąca morały?
Pod karąż jej śmierci, pod karą sromoty
Wzbronione nazawsze młodzieńcze pustoty,
Młodzieńcze brewerje a szały?

Nie sądzę! Bynajmniej! Wszechstronna! Niebianka
Nie same cyprysy zapłata do wianka,
I różą nie gardzi w przelocie;
Na złotej swej lutni, jak trzeba, z kolei
Uśmiechom, westchnieniom, rozpaczy, nadziei,
W zarównej przegrywa ochocie!

Nie sądzę! Bynajmniej! Wszechstronna! Bogini!
Gdy trzeba kapłanka w artyzmu świątyni
Naucza, spowiada, proroczy;
Lecz młoda wieczyście, pod wonnych bzów cieniem,
Z rozwianym na wiatry kędziorów strumieniem,
Gdy trzeba, do pląsów też skoczy!

I będzie tęsknotą, i będzie weselem,
Aldoną — Adamów, Szekspirów— Arielem,
Horacych w pół nagą bachantką...
I będzie królową i sielską dziewczyną,
Didoną — Wirgilich, Karpińskich — Justyną,
Lecz nigdy, niczyją — pedantką!

Naznaczać granice jej skrzydeł wszechwoli,
Wymagać, niech śpiewa to tylko, co boli,
Sierocą odziana sukienką;
O wzdyć to to samo, co słońca promienie,
Na całe wszechświata rozsiane przestrzenie,
Wciąż w jedno kierowa okienko!

Swobodnej jak ptaszę, i świeżej jak Maje,
Potępiać za lekkie, być może, zwyczaje,
Powagę w nią wmawiać mentora —
O wzdyć to to samo, co żądać by strumień,
By potok zaniechał swych bryzgów, swych szumień,
I drzemał jak drzemią jeziora!

Uwzględnij mą młodość, Cenzorów gromado!
Gdy czasu podmuchy na skroni, co bladą,
Jej kwietnej zagrożą koronie;
To zdołam, być może, pierwowzór poety,
Ideał poezji dopatrzyć, niestety!
W Klopstock'u, w La Harp'ie, w Miltonie!

To pójdę wraz z Joung'iem pomiędzy cyprysy
Na smętnym grobowcu zapłakać Klaryssy,
To lutnię przekuwszy na lirę —
Pośpieszę nim pan Bóg do siebie powoła,
Przy kruchcie, tam w kątku u progów kościoła,
Strasznemu wtórować: Dies irae!

Dziś jeszczem za młody, szron jeszcze na skroni
Memento mi mori co chwila nie dzwoni,
I przyszłość obietnic brzmi chórem;
Choć spadnie grom klęski, choć zerwie się burza,
To niebo wraz po niej toń ciemną rozchmurza,
I czystym połyska lazurem!

Nie gwałćcie mi Majów żywota a pieśni,
Nie krzywdźcie mej muzy, o grobach iż nie śni
Iż chętniej się śmieje, niż płacze —
Iż nie zna powagi, iż togą znudzona
Uchyli jej czasem u stóp swych, u łona,
I rzeska, wesoło poskacze!

Wszak czas jest na wszystko! Niestety! Za skoro
I jej się te chętki do pląsów przebiorą,
I jej się zabierze na łkanie;
I jej się... Lecz k'czemu zawczesne te wnioski?
Na szlochy dni przyszłych, na przyszłych dni troski,
Dni przyszłych do zbytku jej stanie!

Tymczasem, skacz luba! śpiewając: Tra-la-la!
Całusek dziękczynny szlij wszystkim, co zdala
Pochwalą twój taniec ochoczy;
Szczerz ząbki do tłumu, a czarnej zaś zgrai
Świętoszków, tartiufów, co smutek ci rai,
Drwij w oczy jedyna, drwij w oczy!

Paryż d. 14. Października 1875 r.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

(Zima. — Folowanie wełny. — Młyn. — Manja Pencroffa. — Fiszbiny. — Na co się może przydać albatros. — Paliwo przyszłości. — Top i Jow. — Burze. — Szkody w kurnikach. — Wycieczka do błot. — Cyrus Smith sam. — Zbadanie studni.)

Tymczasem zima zbliżała się wraz z czerwcem, który jest listopadem stref północnych — i najważniejszem zadaniem chwili było postarać się o trwałą odzież.

Ostrzyżono już barany pomieszczone w zagrodzie, i szło tylko o zamienienie tego drogocennego włókiennego materjału w materję.

Samo z siebie się rozumie, że Cyrus Smith nie mając do rozporządzenia robotnic do gręplowania, czesania, gładzenia, wyprostowywania i rozplątywania wełny, ani przyrządów jak „mulejenny" i „self-acting" do przędzenia, ani warstatu tkackiego wreszcie, — musiał użyć daleko prostszych sposobów, tak, aby się odbyło bez przędzenia i tkania. I w istocie postanowił odrazu wyzyskać tę właściwość włókien wełny, iż ciśnięte na wszystkie strony, plączą się i tworzą przez proste tylko skrzyżowanie się materję: pilśń zwaną. Pilśń tę można było tedy otrzymać przez proste folowanie, to jest ugniecenie wełny, która to operacja, jakkolwiek zmniejsza sprężystość materji, powiększa za to jej własność zatrzymywania ciepła. A jak na to jeszcze, wełna z baranów dzikich składała się z bardzo krótkich włókien, co jest wyborną okolicznością przy wyrobie pilśni.

Przy pomocy tedy swoich towarzyszy, a więc i Pencroffa — który musiał raz jeszcze opuścić swój statek — inżynier rozpoczął czynności przygotowawcze, mające na celu uwolnienie wełny od owej substancji oleistej i tłustej, którą zwykle bywa przesiąknięta, zwanej tłustą wilgocią (suint). To odtłuszczanie odbywało się w kadziach napełnionych wodą, podniesioną do temperatury siedmdziesięciostopniowej. W nich spoczywała wełna przez dwadzieścia cztery godzin; następnie prano ją z gruntu w kąpieli sodowej, aż wreszcie, wysuszona jeszcze dostatecznie za pomocą ciśnienia, stawała się zdatną do folowania, to jest do zamienienia w mocną materję, pospolitą niewątpliwie i którąby nie miała żadnej wartości w jakiemkolwiek ognisku przemysłowem Europy lub Ameryki, ale wysokiej była ceny na „targu wyspy Lincolna".

Łatwo pojąć, że ten rodzaj materji musiał być znany w najdawniejszych czasach, i w samej rzeczy pierwsze materje wyrabiano na sposób, którego Cyrus Smith zabierał się użyć.

Jego wiadomości inżynierskie przydały się najbardziej przy budowie maszyny do folowania,

wełny, potrafił bowiem zręcznie skorzystać z siły mechanicznej, dotychczas nie wyzyskanej, z siły wodospadu staczającego się na wybrzeże. Jemu powierzył obracanie młyna foluszowego.

Nic nad to nie było prostszego. Drzewo zaopatrzone w śruby, podnoszące i zniżające z kolei pionowe tłuczki, cebrzyki na wełnę, w które tłuczki spadały, wreszcie rusztowanie z drzewa obejmujące sobą i wiążące ten cały system— oto cała machina, taka, jaka istniała przez wieki, aż do chwili, gdy wpadnięto na pomysł zastąpienia tłuczków cylindrami cisnącemi, i poddania materjału nie już operacji młócenia, ale prawdziwego rozpłaszczania.

Całe to działanie pokierowane przez Cyrusa Smitha, udało się najwyborniej. Wełna, — poprzednio nasiąknięta roztworem mydłowatym, mającym z jednej strony ułatwić ześlizgiwanie się jej, zbliżenie, powiększyć ściśliwość, rozmiękczyć ją, a z drugiej zapobiedz uszkodzeniu jej w czasie młócenia — wyszła z młyna pod formą grubego arkusza pilśni. Pręgi i szorstkości, istniejące z natury na każdem włókienku, tak dobrze poszczepiały i pozaplątywały się z sobą, iż utworzyła się z nich materja zarówno dobra na odzież, jak na kołdry i koce. Widać było, że to nie merynos, ani muszlin, ni kaszmir szkocki, ni kort, ni ryps, ni atlas chiński, ni orlean, ni alpaga, ni sukno, ani też flanela! Była to „pilśń lincolnijska“ — i wyspa Lincolna pozyskała z nią jedną gałęź przemysłu więcej.

Osadnicy uzyskali tedy, okrom dobrej odzieży, wyborne kołdry i bez trwogi mogli patrzeć na nadchodzącą zimę r. 1866-67.

Wielkie mrozy dały się rzeczywiście uczuć około 20go czerwca — i Pencroff, na wielką żałość swoją, zawiesić musiał budowę statku, który zresztą mógł być napewno skończonym do wiosny.

Manją marynarza stała się podróż dla zbadania wyspy Tabor, — pomimo, że Cyrus Smith nie sprzyjał temu zamiarowi, wypływającemu widocznie z samej tylko ciekawości, jasną bowiem było rzeczą, że nie można się było spodziewać znalezienia jakiejkolwiek pomocy na tej samotnej i na pół pustynnej skale.

Podróż stupięćdziesięciomilowa, na statku stosunkowo maleńkim, w pośrodku nieznanych mórz — była to sprawa mogąca wzbudzić pewne obawy. Niechby statek, raz na morzu, znalazł się w niemożności i dopłynięcia do wyspy Tabor i powrócenia do wyspy Lincolna, cóżby się z nim stało na środku oceanu Spokojnego, tak obfitującego w huragany?

Cyrus Smith rozmawiał często o tym projekcie z Pencroffem i natrafiał w marynarzu na dosyć dziwaczny upór dokonania tej podróży; upór z którego on może sam nie zdawał sobie dobrze sprawy.

— Koniec końców — rzekł doń pewnego dnia inżynier — zwrócę twoję uwagę, mój przyjacielu, że po tylu pochwałach oddawanych przez ciebie wyspie Lincolna, po wyrażeniu tylekroć żalu, którybyś uczuł, potrzebując się z nią rozstać — obecnie pierwszy opuścić ją pragniesz.

— Opuścić na kilka dni tylko — odparł Pencroff — na kilka tylko dni, panie Cyrusie! Na tyle czasu, ile wymaga droga tam i napowrót i zobaczenie, co też to za wysepka!

— Ależ nie może być warta wyspy Lincolna!

— Z góry jestem tego pewny!

— Pocóż więc się hazardować?

— Ażeby się dowiedzieć, co się dzieje na wyspie Tabor...

— Ależ tam nic się nie dzieje! nic się dziać nie może!...

— Kto to wie?

— A jeżeli was burza zaskoczy?...

— Nie ma się co tego obawiać w ciepłej porze roku — odrzekł Pencroff. Ponieważ jednak, panie Cyrus, ponieważ należy wszystko przewidywać, będę pana prosił o pozwolenie zabrania tylko Harberta w tę podróż.

— Pencroffie — odpowiedział inżynier, kładąc rękę na ramieniu marynarza — sądzisz więc, iż gdyby się przytrafiło jakie nieszczęście tobie i temu dziecku, które przypadek synem naszym uczynił — mybyśmy się kiedykolwiek pocieszyli?

— Panie Cyrus — odparł Pencroff z niewzruszoną ufnością — nie sprawimy wam nigdy tego zmartwienia. Zresztą, pomówimy jeszcze o tej podróży, gdy przyjdzie czas na nią. A potem, wystawiam sobie, że skoro pan obaczysz nasz statek tak pięknie zaopatrzony we wszystkie porządki, tak wybornie okasztelowany, gdy opłyniemy na nim wyspę naszą — zrobimy to bowiem razem — wystawiam sobie, mówię, że nie będziesz się pan wahał puścić mnie w podróż. Nie kryję panu, że ten twój statek będzie arcydziełem!...

— Powiedz przynajmniej: „nasz statek“, Pencroffie! — odrzekł inżynier, rozbrojony na chwilę.

Tak skończyła się ta rozmowa, aby rozpocząć się później, bez zmiany przekonań inżyniera lub marynarza.

Pierwsze śniegi spadły przy końcu czerwca. Poprzednio już zagroda dla bydła zaopatrzoną została obficie we wszelkie zapasy żywności i przestała wymagać codziennych odwidzin; postanowiono jednak, iż nigdy nie przejdzie tydzień, aby ktoś się tam nie wybrał.

Doły pokopano znowu i zrobiono próbę z pastkami pomyślanemi przez Cyrusa Smitha. Fiszbiny, nagięte, ukryte w futerale z lodu i okryte z wierzchu grubą warstwą tłuszczu, rozrzucono po kraju lasu, w miejscu, kędy zwykle przechodziły zwierzęta dążące do jeziora.

Ku wielkiemu zadowoleniu inżyniera, pomysł ten zapożyczony od myśliwców aleuckich, udał się doskonale. Z tuzin lisów, kilka dzików i nawet jaguar, dało się nań złapać — a po zgonie tych zwierząt, przekonano się, że żołądek ich na wskróś był przebity przez nagle wyprężone fiszbiny.

Tu mieści się próba, którą należy zapisać; było to bowiem pierwsze ze strony osadników usiłowanie skomunikowania się z podobnymi sobie.

Gedeon Spilett nie raz już myślał bądź to rzucić w morze zapiskę, zamkniętą w butelce którąby prądy może zaniosły do jakiego zamieszkałego wybrzeża — bądź też powierzyć ją gołębiom. Ale jakżeż na prawdę można było się spodziewać, że gołębie i butelki zdołają przebyć przestrzeń oddzielającą wyspę od jakiegokolwiek stałego lądu — przestrzeń wynoszącą mil tysiąc dwieście. Czystem szaleństwem byłoby w to wierzyć.

Dnia 30. czerwca schwycono nie bez trudności pyszną zdobycz, albatrosa, ranionego lekko w nogę strzałem Harberta.

Był to wspaniały ptak z rodziny owych olbrzymich latawców, których skrzydła rozszerzone mają dziesięć stóp szerokości i pozwalają im przebywać morza tak szerokie, jak Ocean Spokojny.

Harbert byłby chętnie zatrzymał tego pysznego ptaka. Rana bowiem jego szybko się wygoiła i młodzieniec twierdził, że go potrafi przyswoić. Ale Gedeon Spilett wytłumaczył mu, że nie godzi się zaniedbać sposobności przesłania wieści o sobie przez takiego posłańca, ziemiom przyoceanowym; jeżeli bowiem albatros przybył z jakich stron zamieszkałych, nieochybnie do nich powróci, skoro uzyska wolność — i Harbert musiał uledz.

Może być, że w głębi, Gedeon Spilett z którego kronikarz wychylał się niekiedy, nie byłby od tego, aby puścić na chybi trafi interesujący artykuł, z opowieścią o przygodach osadników wyspy Lincolna! Cóż za powodzenie dla stałego korespondenta „New York Heralda“ i dla numeru zawierającego podobną kronikę, gdyby kiedykolwiek doszedł do rąk dyrektora, czcigodnego John'a Bennett'a!

Zredagował tedy Gedeon Spilett treściwą zapiskę, którą umieszczono w worku z gumowanego płótna, z dopisaniem gorącej prośby do każdego, kto ją znajdzie, aby ją odesłał do biór *New York Herolda*. Woreczek ten przywiązano albatrosowi do szyi, nie do nogi, ponieważ ptaki te mają zwyczaj odpoczywać na powierzchni morza. Poczem powrócono wolność temu szybkiemu powietrznemu posłańcowi — i nie bez pewnego wzruszenia widzieli go osadnicy znikającego we mgłach zachodu.

— Gdzie on dąży? — spytał Pencroff.

— Ku Nowej Zelandji — odpowiedział Harbert.

— Szczęśliwej podróży! — zawołał marynarz, nie spodziewający się widocznie zbyt świetnych skutków z takiego sposobu korespondowania.

Razem z nadejściem zimy, zabrano się znowu do robót we wnętrzu Pałacu Granitowego, do naprawy odzieży, i do innych spraw — a pomiędzy niemi przedewszystkiem do zrobienia żaglów dla statku. Wykrojono je z niewyczerpanej powłoki balonu. Przez lipiec mrozy trzymały tęgo, nie szczędzono więc drzewa, ni węgla. Cyrus Smith postawił drugi komin w wielkiej sali i przed nim to mijały długie zimowe wieczory. Na rozmowach podczas pracy, na czytaniu, gdy ręce próżnowały, spędzano czas pożytecznie.

Prawdziwą to było rozkoszą dla osadników, gdy w tej sali dobrze oświetlonej świecami, wybornie ogrzanej węglem ziemnym, po pokrzepiającym objedzie, przy dymiącej się w filiżankach kawie bzowej i fajkach ustrojonych w pioropusze z wonnego dymu, słuchali na zewnątrz szalejącej burzy. Czuliby doskonały dobrobyt, gdyby ten mógł istnieć kiedykolwiek dla ludzi oddalonych od podobnych sobie i pozbawionych możności zawiązania z nimi stosunków!

Osadnicy rozmawiali zawsze o kraju swoim, o przyjaciołach, których tam zostawili, o wielkości rzeczypospolitej amerykańskiej, której wpływ mógł tylko wzrastać — a Cyrus Smith, wmieszany w wiele spraw Unji, interesował żywo słuchaczy swemi opowiadaniami, spostrzeżeniami i prognostykami.

Pewnego dnia, zdarzyło się, że Gedeon Spilett rzekł doń, w biegu rozmowy:

— Koniec końców jednak, mój drogi Cyrusie, czy całemu temu ruchowi przemysłowemu i handlowemu, któremu wróżysz nieustający roz-

wój, nie grozi stanowcze zatrzymanie prędzej lub później?

— Zatrzymanie?... A to przez co?

— Przez cóż, jeśli nie przez brak węgla, który słusznie można nazwać najcenniejszym z minerałów!

— Tak, jest on najcenniejszym w istocie — odpowiedział inżynier — i zdaje się, jakoby przyroda chciała stwierdzić, że i był nim, tworząc djament, który jest niczem innem tylko czystym, skrystalizowanym węglem.

— Nie chcesz pan przecież powiedzieć, panie Cyrus — wtrącił Pencroff — że palić będą djamentem zamiast węgla ziemnego pod kotłami?

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith.

— Ale ja ciągnę dalej rzecz moją — podjął znowu Gedeon Spilett. — Nie zaprzeczysz przecież, że pewnego dnia węgiel wyczerpie się zupełnie?

— Och! Pokłady węgla ziemnego są jeszcze znaczne i sto tysięcy robotników, wydzierających z nich corocznie sto miljonów kwintalów*) metrycznych, znajduje się jeszcze daleko od ich wyczerpania!

— Ale przy rosnącej proporcji konsumcji węgla ziemnego — odparł Gedeon Spilett — przewidzieć można, że z tych stu tysięcy zrobi się wkrótce dwieście i że wydobywanie się podwoi?

— Bez wątpienia. Jednakże, po pokładach europejskich, których wyzyskanie zupełne ułatwią wkrótce nowe machiny, kopalnie Ameryki i Australji wystarczą jeszcze na długo dla konsumcji i przemysłu.

— Jak długo mniej więcej? — spytał korespondent.

— Przynajmniej na dwieście pięćdziesiąt lub trzysta lat.

— No, dla nas to uspokajające — wtrącił znowu Pencroff — ale djable niepokojące dla naszych praprawnuków!

— Znajdzie się co innego — rzekł Harbert.

— Tak się należy spodziewać — odparł Gedeon Spilett — w końcu bowiem, bez węgla nie ma machin, a bez machin, kres kolejom żelaznym, parowcom, hutom, kres wszystkiemu, czego wymaga postęp współczesnego życia!

— Ale cóż się na to miejsce znajdzie? — spytał Pencroff. — Czy pan sobie to wyobrażasz, panie Cyrus?...

— Prawie, mój przyjacielu.

— A więc czemże palić będą zamiast węgla?

— Wodą — odpowiedział Cyrus Smith.

— Wodą — krzyknął Pencroff — wodą będą rozgrzewać parowce i lokomotywy, wodą grzać wodę?...

— Nie inaczej, ale wodą rozłożoną na jej pierwiastki składowe — odpowiedział Cyrus Smith, a rozłożoną bezwątpienia przez elektryczność, która będzie wówczas siłą potężną i dającą się używać; wszystkie bowiem wielkie odkrycia, na podstawie niewytłumaczonego prawa, zdają się schodzić i dopełniać zarazem. Tak, moi przyjaciele, sądzę, że wody używać będą kiedyś za opał, że wodoród i tlen, składające ją, zużytkowane pojedyńczo lub łącznie, staną się źródłem ciepła i światła, niewyczerpanych i posiadających natężenie, którego węgiel ziemny mieć nie może. Przyjdzie dzień, że zasieki parowców i tendery lokomotyw w miejsce węgla naładowane będą ścieśnionemi gazami, które zapłoną w ogniskach z niezmierną potęgą ciepłodajną. Tak więc, nie ma się o co lękać. Dopokąd ta ziemia będzie zamieszkałą, dopóty wystarczy potrzebom swoich mieszkańców; nie zabraknie im nigdy światła ani ciepła, równie jak produkcyj królestw: roślinnego, mineralnego i zwierzęcego. Woda jest węglem przyszłości.

— Chciałbym to widzieć — rzekł marynarz.

— No, toś wstał zawcześnie, Pencroffie — wtrącił Nab, tem jednem zdaniem tylko wmięszawszy się do rozmowy.

Nie Naba jednakże słowom przeznaczono było zamknąć pogadankę, ale szczekaniu Topa, które wybuchło nagle i to z ową dziwną intonacją, co już niegdyś tak mocno uderzyła inżyniera. Szczekając, Top jednocześnie krążył w około otworu studni, znajdującego się na końcu wewnętrznego korytarza...

— Co tego Topa skłania do takiego szczekania? — spytał Pencroff.

— A Jowa do mruczenia w ten sposób? — dodał Harbert.

I w samej rzeczy, orang, idąc w ślady Topa, począł okazywać niedwuznaczne oznaki wzruszenia — a co rzecz szczególna — obadwa zwierzęta zdały się raczej zaniepokojone, niż rozdrażnione.

— Widoczna — odezwał się Gedeon Spilett — że studnia ta ma związek bezpośredni z morzem i że jakiś zwierz morski wypływa z jej głębi od czasu do czasu dla odetchnięcia.

— To jawne — odrzekł marynarz — i inaczej niepodobna tego objaśnić. No, cicho!... Topie — dodał Pencroff, obracając się do psa — a ty Jowie, do swego pokoju!

Małpa i pies ucichły. Jow wrócił do swego posłania, ale Top pozostał w sali i nie przestawał warczeć przez cały wieczór.

Wkrótce zapomniano o tem zdarzeniu; zachmurzyło ono jednak czoło inżyniera.

Przez resztę lipca deszcz i mróz kolejno się zmieniały. Temperatura nie zniżyła się o tyle, jak przeszłej zimy i maksimum jej nie przeszło ośmiu stopni Fahrenheita (13°, 33 centigrad. poniżej zera). Ale jeżeli zima ta była mniej ostrą, za to panowały w niej ciągłe burze i wichry. Zdarzyły się znowu także gwałtowne ataki morza, którym kilkakroć ze szkodą uległy „dymniki.“

Patrząc na ich gwałtowność, sądzić należało, że przypływ morza, spowodowany jakiemś wstrząśnieniem podmorskiem, podnosił te poczwarne bałwany i miotał niemi na mury Granitowego Pałacu.

Osadnicy, gdy wychyleni z okien, obserwowali te niezmierne masy wody rozbijające się przed ich oczyma, nie mogli się dosyć nadziwić bezsilnej wściekłości Oceanu. Fale odskakiwały w postaci olśniewającej białością piany, całe wybrzeże znikało pod tym szalonym potopem — a Pałac Granitowy zdał się wychodzić z samego morza, którego bałwany wznosiły się do wysokości więcej niż stu stopowej.

Podczas tych burz, trudno było zapędzać się na drogi wyspy, niebezpiecznie nawet, gdyż padanie drzew nader często się zdarzało. Osadnicy jednak nie przepuścili żadnego tygodnia, bez odwidzenia zagrody dla bydła. Na szczęście zagroda ta, zakryta od południo-wschodu górą Franklina, nie ucierpiała wiele od gwałtowności uraganu, który oszczędził drzewa jej, szopy i ostrokół. Ale kurniki, znajdujące się na Wielkiej Terasie, a więc wystawione bezpośrednio na ciosy wschodniego wiatru, uległy bardzo znacznym uszkodzeniom. Z gołębnika zdjęło wierzch po dwakroć, a również obaliło barjerę. Wszystko to trzeba było przerobić gruntownie; widocznie bowiem wyspa Lincolna leżała w najnieprzyjaźniejszych okolicach Oceanu Spokojnego. Zdawało się prawdziwie, że stanowi punkt centralny ogromnych wirów wietrznych, które nią kręcą, jak dziecinną frygą.

W ciągu pierwszego tygodnia miesiąca sierpnia, zawieruchy uspokoiły się powoli i atmosfera odzyskała spokój, który zdało się, że straciła na zawsze. Wraz z nastaniem ciszy i temperatura spadła; zrobiło się znowu bardzo zimno i kolumna termometryczna spadła na 8 stopni Fahrenheita, poniżej zera (22° centigrad. poniżej temper. zamarzania.)

Trzeciego września przyszła do skutku od kilku już dni ułożona wycieczka na południowschód wyspy, do błota Tadornów. Kusiła myśliwców ta moc zwierzyny wodnej, mającej tam swoje zimowe siedliska. Dzikich kaczek, bekasów, krzyków, cyranek, nurków, było tam co niemiara; postanowiono więc jeden dzień poświęcić na wyprawę przeciw tym latawcom.

Nie tylko Gedeon Spilett i Harbert, ale także Pencroff i Nab wzięli udział w wyprawie. Jeden tylko Cyrus, pod pozorem jakiejś ważnej pracy, nie połączył się z nimi i pozostał w Pałacu Granitowym.

Myśliwcy ruszyli drogą przez port Balonowy, dążąc ku błotom i obiecawszy być z powrotem w wieczór. Top i Jow towarzyszyli im. Skoro całe grono ich przeszło most na Dziękczynnej, inżynier zwiódł go i powrócił z myślą wykonania zamiaru, dla którego sam został w domu.

Otóż zamiarem tym było zbadanie drobnostkowe owej studni wewnętrznej, której otwór ciemniał na równi z poziomem korytarza Pałacu Granitowego, i która połączona była z morzem, ponieważ niegdyś służyła za przejście wodom jeziora.

Dla czego Top tak często krążył koło tego otworu? Dla czego szczekał w tak dziwny sposób, gdy coś, niby niepokój, przyciągało go do tej studni. Czemu Jow łączył się z Topem w tych objawach niepokoju? Miałaż więc ta studnia inne rozgałęzienia, oprócz komunikacji pionowej z morzem? Czy może, rozgałęziała się ku innym częściom wyspy? Oto, co Cyrus Smith pragnął wiedzieć, a przedewszystkiem sam wiedzieć. I dla tego to postanowił poprobować zbadania studni podczas nieobecności towarzyszy, a w danej chwili nadarzała mu się wyborna po temu sposobność.

Łatwo było zejść aż na sam spód studni za pomocą drabinki sznurowej, nie używanej już od zaprowadzenia windy, a której długość była wystarczającą. Tak też uczynił inżynier; zaciągnął drabinkę, aż do tej dziury, której przecięcie wynosiło około dziesięciu stóp, i spuścił ją w głąb, przywiązawszy pierwej mocno jej koniec górny. Poczem zapaliwszy latarnię, z rewolwerem i kordelasem za pasem, począł zstępować z pierwszych szczebli.

Ściany studni wszędzie były pełne, tu tylko i owdzie wystarczały kanty skały, a za ich pomocą było istotnie możebnem zręcznej istocie wdrapać się aż do samego otworu studni.

*) Quintal równa się centnarowi. Quintal métrique 100 kil. gr. (200 funt.) (Przyp. tłum.)

Zauważył to dobrze inżynier; wodząc jednak z całą starannością latarnię po nad temi kantami nie znalazł najmniejszego śladu, najmniejszego obrywu, któryby pozwalał na domysł, że służyły komuś do wdrapywania się dawniej lub świeżo.

Cyrus Smith zeszedł głębiej jeszcze, oświecając wszystkie punkta ścian studni.

Nic nie spostrzegł podejrzanego. Gdy doszedł do ostatnich szczebli, poczuł powierzchnię wody, naówczas zupełnie spokojną. Ani na równi z jej poziomem, ani w którejkolwiek bądź innej części studni, nie otwierał się żaden korytarz boczny, któryby się mógł rozgałęziać wewnątrz masy skalistej. Mur, w który Cyrus Smith uderzył rękojeścią swego kordelasa, wydał dźwięk pełny. Był to granit zbity, przez który żadna żyjąca istota nie zdolna była sobie przebić drogi. Dla dostania się na spód studni i wzniesienia się następnie aż do jej otworu, trzeba było koniecznie przejść przez ów kanał, zawsze zalany, który łączył studnię z morzem wskróś skalistego podziemia wybrzeża, a to możebnem było tylko dla morskich zwierząt. Co do kwestji, dokąd dochodził ten kanał, do jakiego punktu wybrzeża i w jakiej głębi pod falami, niepodobna było tego rozstrzygnąć.

Cyrus Smith tedy, skończywszy swoje badanie, powrócił na górę, odjął drabinkę, nakrył napowrót otwór studni i wrócił zamyślony do wielkiej sali Pałacu Granitowego, mówiąc do siebie:

— Nic nie widziałem, a jednakże coś jest!

(C. d. n.)

Jubileusz Michała-Anioła

przez

Dr. Artura Wołyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Florencja d. 20. września 1875.

IV.

Dni następnych goście zagraniczni i krajowi zwidzali tutejsze bibljoteki, galerje, muzea, kościoły i zakłady publiczne, robili wycieczki w okolice, bywali na widowiskach teatralnych: w Arenach Nazionale grano komedje i dramaty, w Principie Umberto przedstawiano Wilhelma Tela Rossiniego, w Pagliano Syna marnotrawnego Auber'a, w Teatro Nuovo Kopciuszka Rossiniego etc. — Kongres zaś architektów i inżynierów nieustannie odbywał posiedzenia sekcjami i zwidzał w mieście i w okolicy roboty godne jego uwagi. Na tem tle rysowały się następujące wypadki:

Dnia 15go tutejsi artyści nietylko Itale ale i cudzoziemcy czasowo zamieszkali, dali w hotelu della Pace wielki objad dla reprezentantów Akademij i tych artystów, którzy na uroczystość przybyli. Dwieście pięćdziesiąt osób zasiadło do stołu, ale z uszczerbkiem reputacji pana De Salvi właściciela zakładu, trzeba wyznać, iż więcej było mów niż jadła, więcej toastów niż wina. W pośród gwaru, niczem niedającego się uspokoić, 15 mowców głos zabierało, z których pp. Meissonier, Karol Blanc, Aicard, hr. di Rosen, mówili po francusku, p. Lutzów po niemiecku i dość długo, kom. Meldhal po italsku i do tego poprawnie.

Kto są ci panowie, już wyżej pisałem. Pomiędzy artystami florenckimi figurowało dwóch naszych ziomków: Tadeusz Barącz ze Lwowa i Teofil Godecki z Warszawy. Pod koniec biesiady rozdano odezwę nowego komitetu, wzywającego do składek na statuę Michała Anioła, do której pan Dupré podejmuje się darmo dostarczyć model gipsowy. Odezwa zrazu zrobiła dobre wrażenie i pp. Meissonier i Guillaume na odezwie podanej im przez panią Peruzzi pierwsi zapisali się ołówkiem na 100 fr. każdy, — ale jak dalej pójdzie ta sprawa, niewiem — chociaż w skład komitetu weszły bardzo poważne osoby: Hr. Peruzzi Ubaldino (prezes), mark. L. Rudolfi (kasjer), prof. Falorosi (sekretarz), kom. Em. de Fabris, prof. A. Ciseri, prof. A. Conti, prof. S. Ussi, kom. Aur. Gotti, kom. Poggi, mar. P. M. Salvago i markiz M. De Passano. Niewątpliwie Dupré jest dziś pierwszym rzeźbiarzem w Italji, a może i w całym świecie, ale w sprawie pomników, zwłaszcza gdy potrzeba pewnej ofiarności ze strony artysty jest jak tu mówią jettaturą — to jest jakąś dziwną fatalnością, jak to zaraz zobaczycie. Przed 8 laty, gdy w skasowanym klasztorze S. Marka założono muzeum jużto dla alfresków fra Angelico i fra Bartolomeo, już to dla wspomnień S. Antonina i Savonaroli, którzy tu mieszkali i żywot swój zakończyli, poruszono myśl postawienia pomnika Ojcu Hieronimowi przed kościołem na placu — właśnie w miejscu, gdzie on często miewał mowy do zgromadzonego ludu i gdzie był pojmany przez swych nieprzyjaciół. Zawiązał się komitet, zaczęto zbierać składki, a Henryk Pazzi, autor pomnika Danta na placu Santa Croce, począł lepić statuę, którą nieprzypuszczając żadnego zajścia po latach trzech wykuł z marmuru w kolosalnych rozmiarach. Tymczasem cóż się stało? Zawiązał się drugi komitet dla zbierania składek na pomnik Savonaroli wykonać się mający przez Duprégo, lecz sparaliżowawszy działanie przeciwnika, sam tyle tylko dokazał, iż odlał biust bronzowy i umieścił go w korytarzu klasztornym. Rozdwojenie to artystów tyle dokazało, iż przed trzema laty oficerowie armji a zwłaszcza urzędnicy ministerstwa wojny — którego gmach frontem wychodził na plac S. Marka, wystawili na nim haniebną statuę jenerała Fanti'ego, jaką ś. p. Klemens Papi odlał z bronzu według modelu Fedi'ego. Nie dosyć więc, iż obecnie nie ma funduszów na zwrócenie kosztów Pazzie'mu, ale nadto nie ma miejsca właściwego na umieszczenie pomnika. Dla wyprowadzenia z tak fałszywej sytuacji Pazzie'go pod prezydencją księcia Ferdynanda Strozzi senatora królestwa zawiązał się teraz komitet, złożony z dwóch senatorów (oprócz prezesa), z dwóch deputowanych, z bankiera, dziennikarza i czterech innych członków, — i pod dniem 10go września wydał odezwę do całego kraju — aby pospieszył ze składkami. Przechodzę teraz do statuy samego Michała Anioła, która także ma już swoją historję, i lękać się należy, aby jej nie spotkał los nieszczęsny Ojca Hieronima.

W 1869 r. gdy agitowała się kwestja jubileuszu, zawiązał się komitet pod prezydencją barona Bettino Ricasoli, a wiceprezydencją hr. Ubaldino Peruzzi, celem zebrania funduszu na wykonanie w kolosalnych rozmiarach pomnika Michała Anioła, według modelu tutejszego artysty rzeźbiarza, Leopolda Costoli. Czy zebrano i jaki fundusz nie wiem, ale w pracowni Costolego kilka razy oglądałem dwa różne modele do statuy Michała Anioła. Wystąpienie więc pana Duprégo z nową pretensją do stawiania pomnika Buonarrotiemu, a zwłaszcza popieranie jej przez hr. Peruzziego, który skutkiem mandatu z r. 1869 ma ręce związane, wywoła niezawodnie rozdrażnienie pomiędzy artystami, na obozy podzieli miasto i żadnego prawdopodobnie nie osiągnie skutku.

Dnia 16go za moją inicjatywą dziennikarze zagraniczni dali objad w słynnym zakładzie Donney et Comp. przy ulicy Tornabuoni (N. 16) na podziękowanie Karolowi Pancrazi'emu, redaktorowi Gazzetta d'Italia za doznane od niego grzeczności i usługi w czasie uroczystości jubileuszowych. Od 8. b.m. Pancrazi urządził oddzielny apartament w swej redakcji na przyjęcie swych kolegów z kraju i z zagranicy, bez różnicy opinij politycznych, i codziennie w swym dzienniku zamieszczał odpowiednie o tem zawiadomienie i zaproszenie. W wielkiej i ładnie urządzonej sali znajdowałeś nie tylko wszelkie przybory do pisania, świeże gazety italskie i zagraniczne — blankiety telegraficzne, różne publikacje o Buonarrotim, wiadomości statystyczno-administracyjne o Florencji, kilku ludzi na posyłanie listów i depesz, ale nadto członkowie redakcji każdemu w jego rodzinnym języku dostarczali potrzebnych informacyj, ułatwiali obeznanie się z miastem, wyrabiali zaproszenia i karty wejścia na różne zebrania i uroczystości jubileuszowe — słowem dla tych, którzy nie znali Florencji i języka italskiego, byli prawdziwymi aniołami opiekuńczymi. Dziwna rzecz, iż Francuzi, którzy najwięcej z gościnności Pancrazi'ego korzystali, i którzy od kilku dni zgodzili się byli na projekt uczczenia go objadem składkowym, w chwili stanowczej niedopisali — jedni wyjechali, a inni po prostu nieprzybyli, i 20frankowej supskrybcji nie złożyli. Jako gospodarz biesiady, a także najlepiej władający językami, wnosząc zdrowie Pancraziego, podziękowałem mu za wszystkie grzeczności wyświadczone moim kolegom, którzy, nadmieniłem nawiasowo, wśród ogólnej radości i niespodziewanej gościnności Florencji (bo reprezentanci Akademij zagranicznych byli pomieszczeni w najpiękniejszych pałacach tutejszych patrycjuszów) przez wszystkich byli zapomnieni, a komitet zupełnie ich ignorował. Mowa ta nie uszła czujnej uwadze syndyka miasta, który zaraz grzeczny list wystosował do Pancraziego z podziękowaniem za zajęcie się reprezentantami prasy zagranicznej, i z oświadczeniem, że gościnne podejmywanie ich uważa za wyraz uczuć całej Florencji.

Dnia 17go po południu w kilku powozach i omnibusach miała miejsce pod prezydencją obojga państwa Peruzzich wycieczka do Fiesole, Vincigliata i Settiniano, w której przeszło 80 osób wzięło udział. W Fiesole oglądano etruski amfiteatr przed rokiem odkopany, i rzymską świątynię Jowisza, w Vincigliata średniowieczny zamek świeżo odrestaurowany i z przepychem utrzymywany przez majętnego anglika Temple Leader, w Settiniano willę Buonarrotich zamieszkiwaną przez Terezę wdowę po malarzu Michale Aniele Buonarroti. Dla przyjęcia gości znajdował się także Hektor Buonarroti, młody żołnierz, o którym już wspominaliśmy na innem miejscu. Settisiano oprócz willi Buonarrotich tą jeszcze szczyci się pamiątką, iż jedna z jego cór karmiła Michała Anioła, który zwyczajem italskim przez rodziców był tu oddany na wychowanie do mamki. Mimo, iż nie było gospodarza zamku Vincigliata — plenipotent jego zastawił suty podwieczorek z chłodników, po którym pan Messonier podziękowawszy hr. Peruzzi za gościnność, i pożegnawszy się z towarzyszami wycieczki, pospieszył do Florencji, aby kurjerskim pociągiem wyjechać do Francji.

Dnia 19go września w teatrze Principe Umberto po raz pierwszy wykonano we Florencji mszę żałobną, jaką Verdi skomponował na pierwszą rocznicę śmierci Aleksandra Manzoniego. Msza ta była już wykonaną w Medjolanie (w katedrze ś. Karola podczas nabożeństwa) w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Wenecji, dla podniesienia więc uroczystości jubileuszowych zdawało się wszystkim, iż należy postarać się o ostatni utwór Verdi'ego, którego hr. Peruzzi w imieniu miasta i komitetu zaprosił tutaj. Verdi wymawiając się brakiem czasu, który nie pozwala mu brać udziału w jubileuszowych uroczystościach ciągle się powtarzających obraził nietylko Florencję, ale wywołał oburzenie wielu dzienników krajowych; spiewacy zaś jego uprzywilejowani: Anioł Masini (tenor) Paweł Medini (bas), Teresa Stolz (sopran) i Marja Waldmann (mezzo-soprano), bez których Verdi nie pozwala wykonywać mszy swojej, na wezwanie Karola Ducci przybyli tutaj, i nietylko massę zebrali oklasków, ale także kieszenie złotem wypełnili. Aby bowiem sprowadzić powyższych artystów, zgromadzić chór ze 100 i orkiestrę ze 100 artystów na 4 tylko przedstawienia, potrzeba wyłożyć było 78.000 lirów i żeby nie gwarancja dana przez markiza Filipa Torrigiani i bankiera Wagniere, którzy zobowiązali się z własnej kieszeni pokryć deficyt, p. Ducci pierwszy tutaj negocjant fortepjanów, nie byłby się podjął tej ryzykownej antrepryzy. Ponieważ pierwsze przedstawienie wchodziło w program uroczystości jubileuszowych, przeto wiele gości zostało zaproszonych na takowe, i dla tego zapewne pan Ducci mimo podwyższenia i tak już na Florencję niesłychanej ceny (fotel kosztował 36 lirów, krzesło numerowane 26, a ławki po galerjach 16 lirów) zebrał zaledwie 13.000 lirów *). Jeżeli mam się dzielić memi wrażeniami, to powiem otwarcie, iż wykonanie więcej mnie uderzyło aniżeli sam utwór, w którym chóry niczem się szczególnem nie odznaczają — albo raczej od-

*) Mamy wiadomość, iż drugie przedstawienie Mszy Verdego w teatrze Pagliano przyniosło przeszło 20.000 lirów, trzecie blisko 30.000 — a zdaje się, że czwarte dojdzie do 40.000 lirów, bo z okolicznych miast pociągami spacerowemi umyślnie w tym celu urządzonemi, liczba amatorów z dniem każdym wzrasta.

znaczają się tem, iż mogą być użyte w pierwszej lepszej partyturze teatralnej. Ze spiewów solo najładniejsze są ustępy: koniec Dies irae, Offertorjum i Agnus Dei. W krótkości wam opiszę partycję mszy Verdego: Requiem śpiewa chór. Kyrye chór i 4 głosy. Dies irae chór z następującemi zmianami: strofę Liber scriptios wykonywa mezzo-sopran i chór, Quid sum miser, sopran, mezzo-sopran i tenor, Rex tremendae kwartet i chór, Recordare sopran i mezzo sopran, Ingemisco tenor solo, Confutatis bas solo i Lacrymosa kwartet z chórem. Dalej Offertorjum na cztery głosy, Sanctus dwa chóry fugami, Agnus Dei sopran, mezzo-sopran i chór, Lux aeterna mezzo sopran, tenor i bas, wreszcie Libera me solo sopran, kończy się chórem i fugą, która jest zimnym prysznicem po parowej łaźni. Przepraszam za porównanie, ale rzeczywiście koniec jest bardzo zimny — a kompozycja najsłabsza z całego utworu.

Wieczorem dnia tego hr. Peruzzi w willi swojej Antella (godzina drogi od Florencji) dla ministra robót publicznych i niektórych członków kongresu dał objad, po którym było przyjęcie pozostałych jeszcze gości z jubileuszu. Przybyło z Florencji do 100 osób. Wśród pogadanki odczytano kilka poezyj francuskich, z których jedna pod tytułem La Colère de Michel Ange przed kilkoma godzinami wpierwej była skomponowaną przez Aicard'a na pamiątkę dla pani Emilji Peruzzi, żony tutejszego syndyka.

Dnia 20go września nastąpiło zamknięcie kongresu architektów i inżynierów — na którem postanowiono zebrać się znowu za trzy lata w Neapolu.

Z całą ścisłością zdałem wam sprawozdanie z jubileuszowych uroczystości, a z niego możecie się łatwo przekonać, że Polska była im zupełnie obcą, bo żadna szkoła lub też Towarzystwo Sztuk pięknych, albo wreszcie jaka inna instytucja naukowa nie przysłała swego reprezentanta, ani też z odpowiednim adresem nie wystąpiła, bo żaden artysta polski — a przecież jest ich tylu w Monachium i Rzymie, nie przybył tutaj — bo nawet żadnego turysty polskiego nie zdarzyło nam się spotkać lub słyszeć o nim, a zazwyczaj jesteśmy dobrze w tym względzie poinformowani. Z gorączkową niecierpliwością oczekiwaliśmy tu pana Matejkę — czy to jako reprezentanta Akademji nauk lub Akademji Sztuk pięknych, czy też jako prywatną osobę, ale gdy i z tej strony zawiodły nas (tutejszą kolonję polską) nadzieje, z całą rezygnacją znosiliśmy ignorowanie, zapomnienie... Polski, co nam się dotkliwie czuć dało przy wielu okolicznościach. Czy byliśmy godni lepszego traktowania najlepiej każdemu odpowie na to jego własne sumienie.

(Dok. nast.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Miła niespodzianka.

Zaledwie ludzie Sulejmana zostali uwolnieni, Kabba Rega był już o tem uwiadomiony; jak zwykle czynności nasze były ściśle szpiegowane przez straż królewskiego domku, i każde najdrobniejsze zdarzenie lotem błyskawicy dolatywało do uszów Kabba Regi.

Tego samego wieczora, którego ułaskawił handlarzy, około godziny dziewiątej, kiedy zabieraliśmy się do spoczynku, zauważyłem niezwykłą ciszę, która zapanowała nad miastem. Żaden ruch, żaden szelest nie dolatywał ze stolicy, w której noce całe przechodziły zwykle na wrzaskach, śpiewach i trąbieniu w rogi. Nagle niezwykła cisza została przerwana odgłosem bębna nogara; jakiś czas grzmiał on wśród głuchej nocy, i znowu zaległo głębokie milczenie. Wtem wybuchł piekielny chałas, jakiego ani przedtem ani później nie zdarzyło mi się więcej słyszeć; bez komendy każdy z moich żołnierzy chwycił za broń i stanął w szeregu. Pułkownik Abd-el-Kader przybiegł po rozkazy, a Monsor uzbrojony od stóp do głowy stanął u mego boku. Hałas trwał ciągle, ale mimo to nie można było dojrzeć ani jednej żywej duszy. Starałem się zanalizować części składowe tej piekielnej wrzawy, o której nikt nie może mieć pojęcia. Kilka tysięcy ludzi darło się na różne najprzeraźliwsze tony, co najmniej 1,000 bębnów grzmiało, a niezliczona ilość rogów, piszczałek, świstawek, z dodatkiem najrozmaitszych hałaśliwych instrumentów, składała się na stworzenie muzyki godnej uczty Lucyfera.

Zjawił się nareszcie Mohamed z tłumaczem Umbogo. Na zapytanie co ma znaczyć ta niezwykła wrzawa, rozśmiał się mówiąc, iż był to żart aby mnie przestraszyć i jednocześnie okazać, jak wielka liczba ludzi znajduje się w Masindi. Postanowiwszy odpowiednio przyjąć miłą niespodziankę, kazałem natychmiast zagrać najgłośniejsze utwory. Muzyka ucięła jakiś turecki marsz, cymbały zadźwięczały, duży bęben grzmiał wszystkiemi gromami nieba, trąby rozdzierały powietrze, a małe bębny wtórowały jak mogły. Wkrótce hałas w mieście się uciszył, i brzmiała już tylko moja muzyka; kazałem jej potem przestać i raz jeszcze zapanowała cisza głęboka. Straż podwojona miała nakazaną czujność.

Był to jednak żart, który mi się wcale niepodobał. Na drugi dzień posyłałem kilka razy prosić Kabba Regę by mię zechciał odwidzieć; każdym razem posłaniec przynosił odpowiedź, że król spi, a w końcu zawiadomił mnie, że król pijany. Chwalebnym zwyczajem tego ze wszech miar godnego młodziana było upijanie się do poduszki, poczem spał snem sprawiedliwego do 2ej po południu, w którym to czasie stawał się dopiero widzialnym. Nie mogłem się już tego dnia z królem zobaczyć, natomiast dowiedziałem się o przybyciu kilku mieszkańców z Faiera, części położonej o dziewięć mil od Fatiko, i podległej rządom szejka Rot Jarmy; ten przysiągł wierność wicekrólowi, i zostawał pod opieką Abdullaha. Nowiny jakie mi ci ludzie przynieśli były niepocieszające; Abou Saood jak zwykle pokorny i uniżony aż do podłości w mojej przytomności, podnosił głowę za memi plecyma, i drwił sobie z mojej władzy, prowadząc dalej swoje bezprawia. Żeby udowodnić krajowcom jak jestem bezsilnym, napadł na szejka Rot Jarme uprowadzając bydło i niewolników. Major Abdullah, był za słabym by powstrzymać nadużycia handlarzy.

Roboty koło naszej stacji postępowały z niesłychaną szybkością, grunt był tak bujny, że trzy dni po zasianiu ogórki, melony, dynie i inne jarzyny jakby ruszczką tchnięte wyrastały z ziemi. Szeroka droga, wysypana piaskiem, i obsiana po obu stronach bawełną Egipską, zwaną tamże galleene, prowadziła od Kabba Regi do gmachu rządowego. Ta wspaniale brzmiąca nazwa, dana była silnej ale bardzo skromnego stylu budowie, składającej się z jednego pokoju, długości dwadzieścia ośm łokci, czternaście szerokości, a około dwudziestu wysokości. Dach tworzył jednocześnie werandę, wchód był z obszernego ganku zarysowanego w łuk architektury krajowej, który nam często służył za salę jadalną. Od tylnych drzwi był korytarz łączący krytem przejściem nasze prywatne mieszkanie, które również składało się z jednego pokoju ale przystrojonego w sposób by wywołać podziw Kabba Regi i jego szejków, i wzbudzić w nich chęć naśladowania zwyczajów cywilizowanego świata. Ściany jak zwykle w tutejszych budowach, plecione z trzciny, były obwieszone do samej ziemi czerwonemi kocami, podłoga zasłana matami, na dwóch ścianach wisiały przeciwlegle do siebie duże owalne zwierciadła w złoconych ramach, gabinetowa fotografia królowej Wiktorji stała na toaletowym stoliku, w jednym rogu pokoju zawieszony był duży kolorowany sztych księżnej Walii, takież same sztychy różnych piękności w najjaskrawszych strojach zdobiły inne ściany, a między niemi znajdowały się sceny z polowania na lisy, niemieckie łowy z gończemi psami na kozły, i krajobrazy przypominające drogą ojczyznę. Umeblowanie było nader skromne: dwa angareby czyli arabskie tapczany, przykryte perskim dywanem, służyły do siedzenia w dzień, a spania w nocy. Kwadratowe paczki ustawione jedna na drugiej i przykryte niebieskim suknem, stanowiły stoły, na nich poustawiane leżały różnego rodzaju graciki, małej wartości a wielkiego blichtru, przeznaczone na rozdarowanie napierającym się gościom. Dwa stołki z pni, oryginalnego krajowego wyrobu służyły nam do siedzenia, strzelby i karabiny stały rzędem poustawiane, a duża katarynka spoczywała na stoliczku pod portretem księżnej Walii.

Kabba Rega po kilku dniach niewidzialności, dał się przecież nakłonić i 11. maja przyszedł mnie odwidzić. W sali rządowego domu poukładałem rzędem okazy różnych towarów przywiezionych do Unyoro. Król z iskrzącemi oczyma przechadzał się między zbiorami ciekawych przedmiotów.

— Czy to wszystko dla mnie? — zapytał w końcu.

— Czemu nie — odrzekłem — jeżeli chcecie zakupić za kość towary należące do Wicekróla Egiptu. Są to niektóre tylko okazy z większych składów jakie znajdują się w Gondokoro; przywiozłem je dla zaprowadzenia handlu zamianowego.

Kabba Rega życzył sobie zwidzić nasze prywatne mieszkanie; zaprowadziłem go w towarzystwie czterech szejków i tłumacza Umbogo do naszego pokoju. Na samym wstępie okrzyk zdziwienia wydobył się ze wszystkich piersi. Kabba Rega i szejki w osłupieniu stali na środku zatykając usta ręką, co jest u nich objawem podziwu. Duże zwierciadła były niepojętym cudem; król osłupiały patrzał na swoich towarzyszy, a ci kręcili się w dwóch końcach pokoju, nie mogąc pojąć, jakim sposobem odbywało się rozmożenie ich osób, i zwierciadła zostały uznane za czary. Z trudnością przyszło oderwać ich od tego widoku; nareszcie po długiem gapieniu zwrócili się ku obrazom. Byłem poniekąd zadziwiony dobrym gustem, jaki okazali w sądzie piękności; mniemałem że jaskrawemi strojami niektóre ich podbiją, tymczasem księżna Walii odniosła palmę pierwszeństwa, chociaż biały jej ranny strój nie miał nic krzyczącego.

— Czemu ona ma jedno ucho? — zawołał na raz któryś z szejków. Księżna była wymalowana trzyćwierci twarzy.

— A ten gdzie podział nogę? — zawtórował drugi pokazując jeźdzca na białym koniu, co bokiem do widzów przesadzał przeszkodę. — Musi być na tamtej stronie. — Zauważył jakiś

bystry spostrzegacz. Kabba Rega chodził z kąta w kąt niespuszczając oka z obrazów.

— „Dla czego te kobiety wciąż na mnie patrzą?“ — zapytał po chwili. Szejki toż samo zauważyli i zaczęli się nawet czuć nie swoimi pod uporczywie ścigającym ich wzrokiem piękności, co podciągnięto także pod czary.

Z kolei przeszliśmy do broni; każda sztuka została skrupulatnie obejrzana, tłumaczyłem im różne systemy karabinów i odtylcówek; w tem Kabba Rega zapytał, które sztuki dla niego przeznaczyłem. Rahonka, dziad króla nie wiele myśląc zawołał w zapale: — „Jak mądrzeście zrobili ser przywożąc tę wszystką broń w prezencie dla króla! — Moi goście zaczynali być pocieszni.

Moja żona dla zaspokojenia chciwości króla, dała mu sznur pięknych weneckich paciorków wielce tu cenionych, bransoletę złotą z czterema francuskiemi szmaragdami — klejnot jakiego jeszcze w życiu nie widział — parę sznurków imitacji pereł, poczem pozbyliśmy się szczęśliwie naszych gości.

Przy odejściu wspomniałem Kabbie Rega o intencji przyłączenia Unyoro do Egiptu, przez co okolica będzie w przyszłości używała opieki wicekróla, a władza jaką dziś piastuje pozostanie i nadal w jego ręku, z dodatkiem, że będzie najwyższym reprezentantem rządu Egipskiego. Myśl opieki bardzo go ucieszyła i 14. maja 1872 przy licznym udziale krajowców w imieniu wicekróla wziąłem w posiadanie Unyoro.

Po odbytej ceremonji zająłem się wyprawieniem mojej nieregularnej armji do Fatiko; 300 tragarzy było już w pogotowiu, ale w ostatniej chwili okazało się, że Kabba Rega skradł wszystką broń handlarzy. Kiedy Abd-el-Kader wezwał krajowców do pomocy dla rozbrojenia kompanji Sulejmana w Fowera, oni wszystką broń przynieśli do króla, i dopiero po wielu zachodach, zdołałem wykołatać karabiny, za które chciano mi podsunąć stare i niezdatne strzelby. Dwudziestego trzeciego maja wyruszyła w końcu moja nieregularna siła do Khartum, zabierając listy do wicekróla i do Anglji, razem z instrukcjami dla majora Abdullaha, któremu kazałem aresztować Abou Saooda, odesłać go razem z Sulejmanem pod strażą do Gondokoro, i uwolnić wszyskich niewolników trzymanych w obozach handlarskich, poczem miał się udać ze swoim oddziałem do stacji Fowera.

Sam, zostałem teraz po odesłaniu kompanji i jedenastu żołnierzy eskorty, z siłą 100 żołnierzy, czterech wioślarzy, i czterech uzbrojonych Barysów.

X.

Niepokojące objawy.

Od niejakiego czasu handel szedł bardzo pomyślnie. Krajowcy znosili kość słoniową wymieniając ją na różne drobiazgi, co dla rządu czyniło zysk 1,500 od sta. Za małą garść paciorków i trzy lub cztery jaskrawe chustki kupowało się ząb wartości 20 do 30 funtów. Nie wiem jak potomkowie Izraela uważali by ten procent, ale w Unyoro kupujący i sprzedający byli zarówno zadowoleni. Niestety, Kabba Rega położył w krótce tamę rozwijającemu się korzystnie handlowi, bo wydał rozkaz swoim podwładnym, ażeby kość słoniowa, była do niego znoszona, i pod karą śmierci zakazał wolnego handlu. Od tego czasu nocą tylko kilku śmiałków odważało się znosić kość na sprzedaż.

Dwóch kupców z dalekich stron Karagwe przyszło do Masindi w celu zakupienia z polecenia króla Rumanika kości słoniowej; zostali do mnie przyprowadzeni i miałem sposobność dowiedzenia się niektórych szczegółów geograficznych o nieznanych okolicach. Mówiono mi, że dwóch podróżników znajduje się u króla Rumanika, myślałem że może jeden z nich będzie Livingstonem; ale po szczegółowym egzaminie, przekonałem się, że żaden nie odpowiada rysopisowi naszego podróżnika, muszą zatem być jacyś portugalscy przedsiębiorcy. Kupcy, bardzo inteligentni ludzie, przyszli mnie jeszcze parę razy odwidzić, i przynieśli kość na sprzedaż, poczem rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni.

Ludność w Unyoro jest nadzwyczajnie próżniacza; dni całe spędzają mieszkańcy jeżeli nie na spaniu, to na gapieniu się, i liczne często tłumy zbierają się przy szerokiej piaskiem wysypanej drodze, w celu przypatrywania się naszym czynnościom. Jedyną przerwę i roztargnienie sprawia straż królewska; dzielni ci ludzie wpadają z nienacka w sam środek gawiedzi, przyczem krótkiemi płatkami okładają każdego obdzierając z najlepszej odzieży tych, których zdołają złapać, poczem odchodzą do swojej kwatery ze zdobyczą jako prawnym zyskiem. Rozbój ten uważany jest za wyśmienity żart przez tych, którzy cało wyszli z porażki, a nieszczęśliwi, których utrata odzieży zostawiła w stanie kompletnej nagości, stają się celem pośmiewiska niemiłosiernego tłumu.

Straż bonosoorów jest zbieraniną wszystkich najgorszych urwisów z okolicy; jeżeli niewolnik jaki uciekł od swego pana, znajdował łatwo przytułek w ich gronie; niech kto popełnił jaką zbrodnię, lub nie mógł zapłacić swoich długów, uchodził karze zaciągając się do królewskiej straży, jako oddający osobę swoją w usługi młodego władcy. Łatwo można sobie wystawić jaki duch ożywiał tę straż dzielną; monotonność próżniaczego życia urozmaicali sobie obdzieraniem przechodniów, lub mordowaniem w nocy śmiałka co ważył się bronić swej własności.

Wiele było jeszcze do zrobienia, zanim dzikie obyczaje w Unyoro mogły się nagiąć do jakichkolwiek reform, tembardziej, że sprawowanie Kabba Regi coraz mniej było zadowalające. Od czasu wymaszerowania mojej nieregularnej siły zauważyłem znaczną zmianę w obejściu szejków. Kittakara dotychczas wielki nasz przyjaciel, nie patrzał mi w oczy ale zawsze, czy to mówiąc, czy słuchając spuszczał wzrok do ziemi. Żywność mogliśmy tylko z największą biedą otrzymać. Nadaremnie usiłowałem płacić za zboże; szejki zawsze mi odpowiadali: Kabba Rega nie jest że waszym synem? czyż może syn sprzedawać zboże swojemu ojcu?“ — Z tem wszystkiem nie mieliśmy nigdy większego zapasu jak na dwa dni. Wtem całem zachowaniu była nieczysta sprawa; król domagał się odesłania kompanji handlarskiej pod pozorem, że niechętnie widziana przez mieszkańców Masindi, a w samej rzeczy dla pozbawienia nas przewodników, w razie jakich zajść. Widząc to nieszczere postępowanie, podejrzywałem przewodników i tragarzy, że przeprowadziwszy oddział handlarzy po za rzekę Wiktoria-Nil umkną z łodziami zostawiając ich w przykrem położeniu; napisałem przeto do wakila list nakazując mu niezwłoczny powrót do Masindi, w razie gdyby zauważył jaką zdradę. Pismo ukryłem w sztuczce niebieskiego sukna, którą jako zapomniany prezent dla jednego z szejków wysłałem niezwłocznie przez krajowego posłańca żeby dognawszy oddział oddał wakilowi.

Wszystko to zaczęło mnie bardzo niepokoić, aż w dniu 31 maja zaszły wypadek zamienił rodzące się podejrzenia w bardzo uzasadnione obawy.

Moja stacja była ukończona i wyglądała jak ogród; dla żołnierzy nie miałem już zatrudnienia, przeto wydałem rozkaz pułkownikowi Abd-el-Kader ażeby ich co rano mustrował. Na całej przestrzeni nie było otwartego miejsca oprócz szerokiej drogi prowadzącej do dywanu Kabba Regi, gdzie codzień banda moja przygrywała, i dużego kwadratowego placu po za królewskiemi zabudowaniami, w samym prawie środku miasta. Tam król często miał zwyczaj, siedząc w cieniu drzewa, przyglądać się przedstawieniom swoich błaznów, i miejsce to było jedyne, gdzie mogły się odbywać ćwiczenia wojskowe. Kiedy żołnierze sformowali się w szeregi, zaprowadziłem ich sam z muzyką na czele przez miasto, na plac środkowy, i rozpocząłem zwykłą mustrę, ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, ujrzałem krajowców wypadających ze wszystkich części miasta, i prawie jednocześnie zagrzmiał wielki bęben od królewskiego domu bijąc alarm. Wprzeciągu dziesięciu minut, ozwały się rogi i bębny w różnych kierunkach, i pięć do sześciu tysięcy ludzi zebrało się z zadziwiającym pospiechem; przybrani po wojennemu w rogi zwierząt na głowie, uzbrojeni w dzidy i tarcze wypadli w szalonym pędzie i w jednej chwili otoczyli małą garstkę wojska, wywijając lancami jakby w chęci napadu. Ja i porucznik Baker nie byliśmy uzbrojeni a oficerowie oprócz szabli żadnej innej nie mieli broni. (C. d. n.)

Pogadanki.

XLVI.

W „Luźnych Uwagach“ porusza dzisiaj *Tydzień* sprawę wyboru członka krajowej Rady szkolnej przez radę gminy miasta Lwowa, i kładzie nacisk na potrzebę wprowadzenia w skład najwyższej naszej krajowej władzy edukacyjnej, żywiołu reprezentującego szkolnictwo ludowe. Ktokolwiek łaskaw był zaglądnąć do jednej z niedawnych moich „Pogadanek,“ w której wskazywałem niebezpieczeństwo grożące szkołom ludowym ze strony ustawodawstwa państwowego, uprawnionego do dawania „ogólnych norm nauczania,“ ten z łatwością zda sobie sprawę z doniosłości tego postulatu. Jak wszędzie, tak i w szkołach, najgłębsza nauka i najsurowsze chęci nie uwalniają nikogo od jednostronnych w pewnej mierze poglądów. Znakomitość, pierwszorzędna w Europie, ale poświęcająca się wyłącznie np. badaniu starożytności egipskich i odczytywaniu hieroglifów, z katedry uniwersyteckiej tyle będzie prawiła o Egipcie i o hieroglifach, że obok niej koniecznie potrzeba będzie postawić bodaj docenta, któryby słuchaczom dał poznać i inne partje historji powszechnej. Wielcy zoologowie, botanicy, anatomowie, itd. wszyscy przedstawiają ten sam fenomen. Cóż dopiero, jeżeli zamiast ze znakomitością naukową, mamy do czynienia z samą tylko rutyną. Profesor uniwersytetu, zapytany o zdanie swoje co do studjów gimnazjalnych, zażąda niewątpliwie, by mu szkoły średnie dostarczały uczniów przygotowanych do słuchania jego wykładów. Abiturjenci, którzy nie mają zamiaru lub sposo-

bności kończenia studjów na uniwersytecie, nie wchodzą u niego w rachubę. Tak samo zapatruje się na szkoły ludowe, profesor szkół średnich. Każda niższa szkoła, zdaniem tych panów, powinna być wyłącznie szkołą przygotowawczą do ednego lub drugiego wyższego zakładu — tymczasem, mały tylko procent uczniów posuwa się w górę po tych przepisanych stopniach, a ogromna większość wychodzi z szkół niższych — przygotowana dopiero do nauczenia się czegoś, i nie wynosząca z ławek szkolnych w praktykę życia nic, oprócz sztuki pisania i czytania i liczenia, albo przynajmniej nie zostającego w racjonalnej proporcji do czasu, poświęconego nauce. Nadmieniłem, że pp. profesorom gimnazjalnym w niemieckiej Austrji zawadzają już dzisiejsze szkoły ludowe, z powodu iż nie dostarczają im uczniów teoretycznie wykształconych j k dawniej, tj. iż nie dostarczają im papug bębniących: das Beiwort muss mit dem Hauptworte im Geschlechte, in der Zahl und in der Endung übereinstimmen — a natomiast dzieci uczą się tego i owego, czegoby się przecież później w gimnazjum nauczyły! Tak to zegarmistrz lekceważy ślusarza, choćby robił najlepsze zamki, a ślusarz kowala, choćby najlepiej przybijał podkowy. Dla uniknięcia nacechowanej tu jaskrawo jednostronności, szkoły ludowe jako takie, a nie jako zakłady przygotowawcze do szkół średnich, powinne być reprezentowane w krajowej Radzie szkoluej. W tym duchu reprezentował je p. Starkel, i nadewszystko pożądaną byłoby rzeczą, gdyby radca ten znalazł następcę, nietylko równie gorliwego, równie sumiennego i równie przejętego duchem narodowym, ale także i następcę równie mało przesiąkniętego rutyną dydaktyczną gimnazjalną lub „realną," a pomimo to, równie światłego.

Ale — człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Nam biednym jedną ręką dążyć do tego, aby było lepiej, a drugą chronić się od tego, aby nie było gorzej. Dzisiaj niestety konstelacje są tago rodzaju, że ten drugi wzgląd przeważać musi. Co nam po najlepszem obmyśleniu szczegółów w chwili, gdy całość jest zagrożoną. Nim będziemy mogli wznieść miecz do nowych zdobyczy, potrzeba nam tarczy chroniącej od wrażych pocisków. Taką tarczą jedno nam tylko być może w dzisiejszych niebezpieczeństwach — a tem jednem jest bezwzględna solidarność narodowa. Ktokolwiek w imieniu naszem, jak mężowi przystało, bez trwogi przed możnymi, bez kompromisu z ich przewagą, bez oglądania się na ich wolę, łaskę lub niełaskę, ani „dobro ich służby", da wyraz naszym prawom i potrzebom, tego powinniśmy poprzeć tak jednomyślnem wotum zaufania, by wszem wobec i każdemu z osobna było wiadomem, iż jak jeden ze wszystkich, tak stajemy wszyscy za jednego.

Kiedy dzisiejsze „Luźne uwagi" szły do druku, nieznane nam jeszcze było świetne, gorące, z głowy i serca polskie wystąpienie dr. Euzebiusza Czerkawskiego w sprawie szkół galicyjskich. W czwartek rano znaleźliśmy je w pismach wiedeńskich, i zdawało nam się w danej obecności rzeczy konieczną, by obradująca wieczór Rada gminna największego miasta polskiego, któremu zdanie w tej materji objawić wolno — pełną zapału aklamacją przy wyborze radcy szkolnego poparła szanownego mowcę. Dziwi nas i boli, iż to się nie stało — jakkolwiek z pewnością dr. E. Czerkawski nie liczył nas i nie liczy do rzędu swoich zwolenników, politycznych albo osobistych. Dziwi nas to, bo obok niego nie wymieniano żadnego kandydata, któryby się z nim mógł mierzyć na szerszym nieco widnokręgu, chociaż z wyłuszczonego powyżej punktu widzenia, niejeden mógł być odpowiedniejszym. Boli nas to, bo spostrzegliśmy w reprezentacji naszej stolicy brak tego, co instynkt zachowawczy narodu dyktować nam powinien, brak rozumnego i szlachetnego porywu, od którego powinna być wolną każda zdrowa społeczność, zwłaszcza napastowana w ten sposób, co nasza. Wybór wszakże odroczono do soboty, i niewątpliwie refleksja kilkodniowa wyda skutek, któryby się był przedstawiał piękniej jako dzieło impulsu, jako objaw owej solidarności, stanowiącej jedyną naszą odporną siłę.

* * *

Brońmy się — bo poniewierani jesteśmy nietylko materjalnie, ale i moralnie. W Niemczech mianowicie, od pięciu lat, wyrosła w piśmiennictwie szkoła zaciekłych szowinistów, policzkujących bez skrupułu każdą prawdę, nie zostawiających nikomu miejsca obok siebie w przybytku cywilizacji europejskiej. Mniejsza o to, że pierwszy telegraf funkcjonował we Francji, że pierwszy parowiec wypłynął na morze pod banderą angielską, że pierwsza lokomotywa zahuczała przed półwiekiem w Anglji, że Włoch na hiszpańskim statku odkrył drugą połowę ziemi, a Polak odgadł tajemnicze niebo, — telegrafy, para, nauki wszystkie, to „kultura niemiecka." Nadyma się jak parobczak, który podpatrzył w mieście, że ludzie używają chustek do nosa, i łaje potem prostaków na kiermaszu za ich brak „kultury." Mniejsza o to, że Dante i Petrarca, Calderon i Cervantes, Szekspir i Milton, Kochanowski i Skarga władali potężnie cywilizowanemi mowami, gdy jeszcze nie było języka niemieckiego, przydatnego do książkowego użytku. Mniejsza o to, że myśliciele Wicleff i Huss poprzedzili kłótliwego mnicha, Lutra — cała kultura jest niemiecką, a wszystko inne jest słabym jej odblaskiem. Ba, nawet ogłada towarzyska, nawet grzeczność jest niemieckim wynalazkiem — po za Niemcami istnieje tylko „*Rohheit,*" a ktoby temu niewierzył, temu to z Wiednia i Berlina wytłumaczą w tak grubiański sposób, że mu odejdzie ochota do wszelkiej dyskusji. Jeżeli pisarze niemieccy w ten sposób przedstawiają Zachód publiczności swojej, czytającej przecież po angielsku, po francusku, po hiszpańsku i po włosku, to nas nieznanych jej mieszczą już nie na szarym końcu Europy, ale w Azji.

Jednym z wyskoków tego junactwa, na którego widok trwoga zbierać zaczyna już nawet rozsądniejszych Niemców, bywają fejletony wiedeńskiej *Neue freie Presse*. Temi dniami, w jednym z nich, niejaki p, W. G. poświęcił swoją uwagę teatrowi polskiemu—wytłumaczywszy się poprzednio, że tylko przypadkiem był we Lwowie, i tylko drugim przypadkiem, zabłądził do teatru. Taki pan W. G. — qui se respecte, nie ubliży przecież swojej godności do tego stopnia, by coś podobnego zrobił umyślnie. Samo przez się rozumie się, że artyści nasi — od Dawisona do Ładnowskiego, umieją tylko *nachahmen* (naśladować) ale nie *nachempfinden* (odczuwać) — pociesza nas wszakże uwaga p. W. G. iż defekt ten narodowy wspólny nam jest z ludami romańskiego szczepu, i że Talma albo Rossi w oczach jego nie jest lepszym od Królikowskiego. Co do literatury dramatycznej, pan W. G. wywija się trochę niezręcznie z konieczności wymienienia jednego przynajmniej komedjopisarza niemieckiego, któryby mógł sięgnąć głową tam, gdzie stopy Moliera, ale mści się za to twierdzeniem, iż Kotzebue nie przyznałby się do dzieł starszego Fredry. Już to przyznać, przyznałby się i Gutzkow, albo Laube, aleby im nikt nie uwierzył. Mniejsza wszakże o te ogólne poglądy pana W. G. — ciekawszą rzeczą jest to, że ujmuje się za Polkami przeciw p. Zalewskiemu, autorowi komedji „Przed ślubem." Barbarzyńska publiczność aplaudowała, a pana W. G. bolało serce z powodu „*der unbeschreiblichen Rohheit, mit welcher hier das „ewig Weibliche" prostituirt wird.*" Pierwszy to niewątpliwie zarzut w tym kierunku zrobiony piśmiennictwu naszemu, grzeszącemu odwrotnie takiem zazwyczaj idealizowaniem postaci kobiecych, że w powieściach i komedjach polskich trudno się spotkać z kobietą żywą, z ciała i kości, a spotyka się najczęściej same tylko mglisto doskonałe istoty, jakich w życiu nie bywa. Dosyć że p. W. G. płacze nad upadkiem narodu, z którego łona pisarze takie już tylko męty wydobywają na deski, jak p. K. Zalewski w komedji „Przed ślubem." Co więcej, nasz brak patrjotyzmu, objawiający się oklaskami, oburza go — *ein biederer Deutscher,* zwłaszcza pochodzący po mieczu od Abrahama, a po kądzieli od Sary, i zamieszkały na Wollzeile w Wiedniu, nie może tego znieść, by ktokolwiek poniewierał swoją narodowość w ten sposób — siada więc do wagonu i *kimt zi fuhren kam Czernowitz, an eine neue Wiege germanischer Wissenschaft,* gdzie ludzie szanują swoje rodzinne gniazdo, *und das ewig Weibliche.*

Już to jedno, że pismo chlubiące się staranną redakcją umieszcza idjotyczne ekspektoracje tego rodzaju, gdy chodzi o Polaków, powinno nam być wskazówką, z jakimi nieprzyjaciołmi mamy do czynienia, i jak silnie musimy trzymać się za ręce, by się obronić. Wielbiciel Heinego rozprawia o pietyzmie patrjotycznym, byle mógł wmówić w swoją publiczność, że polskość ma już „twarz hipokratyczną, i duch jej kona, a rodzi się nowy — w Czerniowcach." W szczegółach niedorzeczności podobne zbijają się same — trudnoby nawet ponoś znaleść wykształconego Niemca, któryby po przeczytaniu artykułu pana W. G. nie powziął o autorze takiego samego zdania, jak każdy z nas Polaków — ale ogólny efekt, zdążający do poniżenia nas, do podania nas w lekceważenie, osiągają zawsze te miotania się wynarodowionych żydów polskich, a efekt ten zatrzeć możemy jedynie namacalnemi dowodami żywotności, nie zaś narzekaniem i piorunowaniem bez czynu, bez spójni na zewnątrz.

Jan Lam.

Listy z Krakowa.

(Dokończenie).

Kraków d. 1. listopada 1875.

Przejdźmyż teraz z collegium juridicum do niedaleko znajdującego się gmachu wystawy Towarzystwa Sztuk pięknych. W przeszłym moim liście wspomniałem o kilku nowych obrazach; teraz znowu kilka rzeczy przybyło, których przemilczeć nie podobna.

Naturalnie pierwsze miejsce zajmuje nowy utwór Matejki „Zamordowanie króla Przemysława." Jest to płótno mniejszych już rozmiarów niż „Dzwon" lub „Iwan" mniej zapełnione, a według nas i mniej piękne. Król Przemysław został zamordowany podczas ucieczki na koniu; tutaj mistrz przedstawił go nam broniącego się w gotyckiej sali. Król Przemysław powalił już jednego napastnika, drugi uderza nań z tyłu, trzeci nienaturalnie trzymając oszczep,

godzi w niego, lecz oszczep usiłuje wstrzymać Przemysław nożem krótkim. Zboczenie historyczne jest dozwolone w poezji, a więc i w malarstwie, a co się tyczy tych kilku wymienionych, że tak powiem nienaturalności, to te znikają przy mistrzowskiem wykonaniu genjalnego artysty. Wszystko tu żyje, czujemy z każdą osobą na tem płótnie nakreśloną, a z twarzy każdego czytamy jego zamiary i myśli. Rzecz to nie tak łatwa, nadać każdemu charakter, każdemu pozę zawsze pewną i konsekwentną, nigdy dwuznaczną, i w każdego rysy wlać wyraz zastosowany do okoliczności. Z nowych obrazów mamy jeszcze p. Świerzyńskiego wnętrze zbrojowni pana Piotra Moszyńskiego wcale dobre, lecz zaledwie przypominające niezrównanego w tego rodzaju pracach Gryglewskiego. Perspektywa jest ściśle zachowaną, ale zarzucamy ten koloryt żółtawy, panujący na całem płótnie, wreszcie tego pana siedzącego przy biurku a tyłem obróconego do widza. Nie przeczymy wcale, że te plecy z talentem są oddane, ba! nawet znakomicie, bo niejedni twierdzą, że z nich poznają właściciela tej zbrojowni w drugim pokoju tak zajętego, że się ani nie rusza, ani do nas oglądających jego zbrojownię nie zwraca. Idąc dalej i szukając nowych obrazów, by wam coś napisać przecież o naszej wystawie, zaimponować! — natrafiłem na ciemne płótno, w czarnych ramach z podpisem: „Kwiat paproci" przez Pruszkowskiego. Jakiś wieśniak znalazłszy kwiat paproci w gęstym lesie, widzi już gdzieś zdala dziwy podziemne, a dokoła niego uwijają się wśród ciemności robaczki świętojańskie jak deszcz złoty, a nad jego głową na gałęzi siedzi sowa z oczami żółtemi, zupełnie jak te robaczki. To okropne i straszne! przestraszyło nas trochę, lecz zmusiło do pochwalenia po dłuższym namyśle, gdyśmy odróżnili oczy sowy od robaczków.

Pan Piccard, który przed trzema laty wymalował „Ucztę" z Konrada Wallenroda, tę ucztę, którejśmy zarzucali zbyt silne kolory, jaskrawości i pstrokaciznę, wydał obecnie z pod swego pędzla „Zborowskiego." Wad popełnionych i wytkniętych w przeszłym obrazie nie dopuścił się tutaj artysta, lecz powiedzielibyśmy, że o ile tamten był efektowny, pełen życia, jasny, o tyle ten, jakkolwiek poprawniej malowany i naturalniejszy, zanadto znowu spokojny, niezrozumiały, potrzebujący komentarza, jednem słowem mniej zajmujący, mniej porywający.

Tyle o obrazach, lecz nie dość jeszcze o malarstwie. Dnia 24. bm. otrzymał Matejko dowód uznania i uwielbienia, jakiem prawie wszyscy jesteśmy dlań przejęci. Już dawniej podniesiono myśl uwiecznienia pamięci naszego mistrza medalem, i oto wielbiciele talentu Matejki wręczyli mu medal złoty, srebrny i bronzowy, noszący na sobie z jednej strony napis: „Jan Matejko w Krakowie rok 1875," na drugiej wśród wieńca napis: „Nową chwałą ojczyznę przyozdobił", dokoła zaś wieńca: „Malarzowi historycznemu rodacy." Samo zaś wręczenie medalu artyście odbyło się w ten sposób: Z wystawy Sztuk pięknych udali się zgromadzeni do gmachu Techniki, gdzie deputowani znaleźli artystę w jego tamże urządzonej pracowni nad kolosalnem płótnem przedstawiającem „Bitwę pod Grunwaldem." Pan Piotr Moszyński przemówił do mistrza, który mu odpowiedział serdecznie, dziękując słowami pełnemi prostoty i skromności: „Panowie! — mówił wzruszony — obowiązujecie mnie na przyszłość. Czy mogę ręczyć, jak zdołam użyć mego talentu? i wolałbym, aby tego rodzaju nagroda spotkała mnie kiedyś po skończonym zawodzie, przed zgonem lub po śmierci!"

Sztuki piękne tak kwitną u nas, tylu mamy artystów znakomitych, rzeźbiarzy, malarzy i budowniczych, a przecież nowe domy stają nie według praw architektury, co mówię o architekturze? chyba w stylu krakowskim. I tak np. na rynku na linji AB odnowiono teraz dom niegdyś należący do pana Kremera, a odnowiono go w ten sposób, że okna naprzemian inne mają gzymsy i ozdoby. Jeżeli jedno okno z łukiem to drugie z prostym gzymsem. Dom jeden, okna jednej wielkości, a wygląda, jakby były dwa, bo oko nie może znieść tego dziwacznego stylu. Niektórzy twierdzą, że kamienica ta dwóch ma właścicieli, więc by się nie pokłócili co do dochodów, dla miłego spokoju rozdzielili sobie zawczasu okna. Pod każdym więc względem, gdyby ze spółki pragnął się który wycofać, okna te pomogą mu do prędszej ugody.

Pan Lenartowicz opuścił już nasze miasto z wielkim żalem całego grodu, w ostatnich dniach oddawał się poeta szczególnie młodzieży i tak kilka razy po parę godzin siedział wieczorem w czytelni akademickiej rozmawiając z młodzieżą o bieżących rzeczach, o literaturze i sztuce. Przez cały czas swego pobytu u nas nie poświęcił poeta ani chwilki sobie, wszystko nam i z nami, nie opuścił ani jednego zgromadzenia, ani jednej sposobności, którąby mógł dać do poznania młodzieży, że się nią szczerze, nie tylko słowem ale czynem i sercem zajmuje. Żegnaliśmy poetę ze łzami w oczach, i jedyną tylko nadzieją, że nie raz ostatni, co nam p. Lenartowicz solennie przyrzekał. *W. L.*

Piśmiennictwo polskie.

(*Correspondance inédite du roi Stanislas Auguste Poniatowski et de Madame Geoffrin (1764 — 1777) précédée d'une étude par M. Charles Moüy, Paris, E. Plon et Cie. 1875.*)

Wszystkie niemal polskie dzienniki pisały i piszą o niedawno wyszłej korespondencji Stanisława Augusta z panią Geoffrin.

W „Czasie" nawet wychodzą tłumaczenia z ciekawszych listów, z objaśnieniami historycznemi przez p. Siemińskiego, a w innych dziennikach wzmianki lub obszerniejsze recenzje. Korespondencja ta zajmuje przeciąg czasu od r. 1764, od dnia wstąpienia na tron Stanisława Augusta aż do r. 1777. roku śmierci pani Goeffrin. Że jest ciekawą, to nie ulega żadnej wątpliwości, lecz nie ma ona doniosłości historycznej, nie znajdujemy w niej nic nowego, coby mogło na jakiś wypadek lub nawet na osobistość znakomitszą tej epoki inne światło rzucić. Największą może zaletą tej książki, zaletą historyczną, jest charakter króla, który jakkolwiek doskonale znany z tych niezliczonych współczesnych pamiętników, maluje się tutaj trochę odmiennie, korzystniej może, a niezaprzeczenie najprawdziwiej. Bo gdzież może się malować dobitniej i prawdziwiej charakter Poniatowskiego, jeżeli nie w listach własnych, i to listach pisanych do przyjaciółki najżyczliwszej, kobiety rozumnej, o której król był przekonany, że go zna doskonale, że czyta w jego duszy, że cokolwiek przed nią ukrywać, byłoby śmiesznością! Dlatego też uważamy te listy za nieoceniony materjał do poznania charakteru Poniatowskiego, dość niejasnego, zmiennego, niepewnego, a tymczasem dla psychologa bardziej niż inne zawikłanego. Pani Geoffrin maluje się w tych listach wybornie, stoi przed nami żywa z najdrobniejszemi odcieniami swego usposobienia, daleko wyraźniej niż sam król, szkoda że mniej niż tenże nas obchodzi. Książka ta ma podwójny interes, dla Polaka i Francuza; dla Polaka ze względu na króla i osoby go otaczające, dla Francuza ze względu na panią Geoffrin, która była kobietą niepospolitą, oryginalną, postacią najbardziej zajmującą z tych wszystkich sławnych kobiet ośmnastego wieku, uświetniających i otaczających tron Ludwików. O stosunkach króla Poniatowskiego posiadaliśmy różne wiadomości, wiedzieliśmy o nich z pamiętników własnoręcznych Stanisława Augusta, niedawno przez B. Zaleskiego wydanych, napotkaliśmy o tym stosunku wzmianki w różnych pamiętnikach współczesnych, blade wprawdzie, lecz wystarczające, bo cóż za wyższy interes może przedstawiać przyjaźń króla polskiego z kobietą, żyjącą gdzieś daleko, wymieniającą z nim zaledwie kilkanaście listów rocznie. Dziś jednak, kiedy epoka Stanisława Augusta wszystkich, najobojętniejszych nawet zajmuje, już to dlatego, że nie jest odległą, że nie jeden szuka w niej wspomnień o swym dziadzie lub ojcu nawet, już to dlatego, że jest niezaprzeczenie nader zajmującą, pełną wrażeń, anegdot, epoką ludzi najoryginalniejszych, najdziwaczniejszych, ludzi ogromnych zdolności, fortuny i dowcipu, wszystko więc, co z tej epoki pochodzi, mówię, żywe obudza zajęcie. Koniec wieku ośmnastego we wszystkich państwach przepełniony jest faktami największe mającemi znaczenie w historji tak politycznej jak obyczajowej. Na tronach siedzą monarchowie wielcy, reformatorzy, miłośnicy sztuki i oświaty. We Francji rozpustny Ludwik XV, po nim Ludwik XVI spokojny i dobry, rewolucja straszna, rzeczpospolita! — w Austrji Józef II burzy i wichrzy, znosi klasztory, intryguje, reformuje od podwaliny ustrój państwa, wzbudza niezadowolenie i powstania. W Prusach przebiegły i chytry Fryderyk, w Rosji Katarzyna, kobieta, jakiej drugiej nie ma, a w Polsce Stanisław August jej kochanek, reprezentant europejskiej cywilizacji, człowiek najprzyjemniejszy i najgustowniejszy, lecz nie na monarchę stworzony.

Rozlewa się krew we wszystkich częściach Europy, rozbierają bezprawnie kraj jeden wielki i potężny, ścinają głowę monarchom i siostrze rzymskiego cesarza. Wszędzie niepokoje i rozruchy, do tego dodać jeszcze rozkwit literatury i sztuki, encyklopedystów, zniesienie Jezuitów, Voltaira i ministrów jak Kaunitz, Potemkin, a pojąć łatwo, że to była epoka pełna kolorytu, dostarczająca dla historyka, filozofa i psychologa niezliczonych materjałów do badań. Epoka ta budzi do dziś dnia najżywsze zajęcie, i każdy materjał do niej się odnoszący z radością witamy, z przyjemnością czytamy, rozumiemy tych ludzi żyjących w wirze i szale końca ośmnastego wieku. Pozwoliliśmy sobie tego zboczenia będąc tego zdania, że korespondencja ta pod tym względem największą ma wartość, bo maluje doskonale czasy, a dla nas tem jest cenniejszą, że mówi o ludziach, wybitniejszą rolę odgrywających, o osobistościach, które znamy z historji, a każdy szczegół lepiej je charakteryzuje, dodaje im siły i kolorytu, którego właśnie niektórym brakuje. Nie potrzebujemy daleko szukać dowodu na to nasze twierdzenie.

W korespondencji tej znajdujemy przydomki na niektóre osoby, przydomki, które dla większego bezpieczeństwa król z panią Geoffrin za jej bytnością w Warszawie ułożył. I tak nazywa Stanisław August w swych listach siebie Telemakiem, księcia Michała Czartoryskiego Ciceronem, imparatorowę Katarzynę, bussolą, Lubomirskę marszałkowę Aspazią, a księżnę Sapieżynę, wojewodzicową mścisławską, Sfinxem. Kto zna dobrze historję tego panowania, kto czytał różne pamiętniki współczesne, to czytając te przydomki, niezawodnie sobie pomyśli — jakże trafne! — jakże się zgadzają z sądem, jakibyśmy o nich dziś wydali.

Takie na pozór drobne rzeczy, nieraz są bardzo cenne, charakterystyczne, dowodzą nam, że tak Koźmian w swoich pamiętnikach, jakoteż Kraszewski w niejednej ze swoich powieści, dobrze odmalowali tę księżnę Sapieżynę, bo tak samo jak król, który ją niezawodnie znał najlepiej i nie mógł dać jej lepszego przydomka jak Sfinx. Nie będziemy tutaj opisywać stosunku króla z panią Geoffrin dobrze już znanego, o którym

*

nasi i obcy nieraz już pisali, wiemy, że ją król nazywał Mamą, ona go synem, że była w Warszawie, gdzie jej Stanisław August urządził na zamku taki sam zupełnie apartament, jaki miała w Paryżu. Przed paru laty nawet pojawiło się dziełko p. t. „Schöne Geister und schöne Seelen“ (Piękne duchy i piękne dusze) w którym autor, baron Hohenhausen, jeden ustęp Poniatowskiemu i pani Geoffrin poświęca.

Powiemy tylko parę słów o charakterze króla, jak nam się w korespondencji maluje, co jest najważniejszą częścią tejże. Poniatowski występuje w tych listach jako człowiek, monarcha, światowiec, filozof, miłośnik sztuk i dyplomata. O wszystkiem pisze, co go tylko zajmować mogło, szczerze, otwarcie, nic nie tai, cieszy się i boleje, nie szczędzi narzekań na tych, którzy są powodem jego zmartwień i kłopotów, nie waha się narzekać na ojczyznę, sejm, krewnych i nie tai wypowiedzieć swego zdania o Katarzynie, wzbudzającej w Europie podziw i przestrach.

Stanisław August ma jaknajlepsze zamiary, lecz okoliczności, niemoc, brak władzy i wieczna trwożliwość, nie pozwalają mu nic wykonać.

Chcąc wynagrodzić, zrównoważyć straty, jakie kraj pod jego rządami ponosi pod względem politycznym i finansowym, chcąc się rozerwać i odwrócić myśl od przerażającej i wstrętnej dyplomacji, otacza się literatami, zakłada szkoły wojskowe i malarskie, buduje gmachy, bawi się i wydaje pieniądze. Robi wiele dobrego, wspiera artystów, lecz czasem bardzo nieszczęśliwie, i tak posyła Kucharskiego do Paryża, chcąc z niego zrobić malarza, łoży na niego setki dukatów i wszystko napróżno, bo Kucharski nigdy nie był malarzem.

Nie rachuje się w wydatkach i jak z tej korespondencji widzimy, już od samego początku w złych był interesach finansowych; pani Geoffrin ciągle się dowiaduje, jak stoi jego kassa, król odpowiada, że źle, co jednak nie przeszkadza, że oprawa miniatury dla pani de La Palliere kosztuje około 500 dukatów, że Krempiński kupuje w Paryżu, co mu się tylko rzewnie podoba na rachunek króla, który sam znów ciągle do pani Geoffrin pisze, to prosząc ją o obstalowanie obrazu u Neutenil'a lub Marianne'a, to o przysłanie mu lśniącej od bronzów karety etc. W chwilach spokojnych, koresponduje król o takich różnych drobnostkach z przyjaciółką, o bajkach czasem, donosi jej nowiny miejskie, ba! nawet pisze jej o swych kochankach, o obrazach, Bacciarellim, swym dworze i otoczeniu. W czasie sejmu narzeka bez litości na Polskę, stany, krewnych i Imperatorowę, którą ciągle kocha. Listy wtenczas przybierają inną barwę, styl staje się górnolotnym, przepełnionym frazesami i trafnemi porównaniami, a pani Geoffrin go pociesza, błaga o cierpliwość, by się nie męczył, zdrowia swego szanował i w lepszą przyszłość miał nadzieję.

Król się unosi, ojczyznę nazywa „mon diable de pays“, narzeka na niewdzięczność Krasickiego, który się od niego usuwa, jakoteż od wszelkich intryg politycznych, których biskup warmiński nienawidził.

Wśród masy szczegółów dotąd nieznanych, napotykamy niektóre korzystne dla Stanisława Augusta, jak n. p. odmówienie przyjazdu ulubionej spiewaczki, panny Clairon, dla oszczędności, by nie jątrzyć narzekających na zbytki dworu.

Pani Geoffrin zaś zajmuje się tylko osobą króla, jest ona wzorem przyjaźni, listy jej pełne prawdziwie macierzyńskiej miłości, przejmuje się jego zasadami, wierzy mu ślepo, nienawidzi tych, którzy mu szkodzą, affektuje nawet czasem, przesadzając w tkliwości, w próżnych i czczych frazesach.

Tyle może wystarczy, aby pojąć charakter tej korespondencji, aby zrozumieć doniosłość, jaką by ona mieć mogła dla historyka. Według nas, ważną jest ona do biografji króla, niezbędną nawet, cenną dla badacza obyczajów XVIII wieku i powieściopisarza, lecz małej, jakkolwiek nie bez wartości, dla historyka.

Pan Moüy, który napisał wstęp do tego dzieła i wszystkie listy objaśnił notami niezbędnemi dla czytającego, dał dowód niepospolitej znajomości historji polskiej, jak na cudzoziemca.

Nie tylko zna on historję, lecz drobne nawet szczegóły odnoszące się do pojedynczych rodzin; popełnia wprawdzie mylki w nazwiskach i samej historji, lecz tych jest mało, a te które są, zbyt drobne, by je wymieniać.

Wydanie tej korespondencji jest bardzo piękne i staranne, ozdobione śliczną aquafortą Rajona, przedstawiającą portret króla Stanisława Augusta podług oryginału pędzla Bacciarellego.

W. L.

Ze świata muzycznego.

W godnych uznania zabiegach około podniesienia i ulepszenia sceny naszej, dyrekcja opery rozpoczęła sezon zimowy gościnnemi występami aż trzech naraz primadon. Rywalizacja tych spiewaczek o palmę pierwszeństwa wywołała zaciętą i tak sprzeczną w swoich zdaniach między panami recenzentami polemikę, że dla nieobecnych pod ten czas we Lwowie trudno do dziś zorjentować się, który z nich miał rację.

Co do p. Bogdani — słyszeliśmy ją w przeszłym sezonie; niezaprzeczony jej talent, znajomość spiewu i wykształcenie muzykalne stawiają ją w rzędzie może najlepszych spiewaczek ale zawsze... tylko w salonie. Sympatyczny bowiem jej głosik zaledwie mogący zapełnić przestrzeń koncertowej sali, jest na scenę za słabym, a jeden *Cyrulik Sewilski* to nadto skromny repertoar i dla artystki i dla publiczności.

P. Desta-Sadowską nie słyszeliśmy wcale — wiemy tylko, że raz spiewała w *Łucji*, że była zachrypniętą i że dyrekcja zaangażowawszy ją na 6 przedstawień, zadowoliła się tylko pierwszem, i zapłaciwszy zań oraz za pozostałe pięć, dobrowolnie z reszty skwitowała. Co zaś do talentu samej artystki, naczytaliśmy się w sprawozdaniach pp. recenzentów najwięcej wyciągów z gazet zagranicznych, najmniej zaś własnych poglądów.

Pozostaje nam jeszcze pani Juniewicz, która przeszedłszy zwycięsko surowe sądy lwowskich koneserów, obiecuje nam podtrzymać operę. Nadzieje te o tyle więcej są uzasadnione, że sceniczne warunki artystki, a przedewszystkiem piękny i wytrwały jej głos dają nam tego gwarancję. Mając więc zapewnioną już jakąś przyszłość, witamy operę naszą z pierwszem przedstawieniem *Fawority* Donizetti'ego w d. 28. października.

Podobnoś to wiele już lat upłynęło, jak Lwów słyszał tę jedną z licznych inspiracyj włoskiego maestro. Od czasu powstania we Włoszech nowszej szkoły, której reprezentantami są Rossini, Bellini i Verdi, muzyka włoska przybrała kierunek przeważnie dramatyczny — celem jej stała się jedynie scena i w tym to czasie bogaci w melodję kompozytorowie włoscy zarzucili cały świat swojemi operami. Donizetti jakkolwiek bez wątpienia był jednym z najpłodniejszych twórców, przecież tej nowatorskiej indywidualności w sobie nie posiadał. Był on niejako spokrewniony tylko duchem z Rossinim i Bellinim, z pierwszym co do chumoru i werwy, z drugim co do melodji. Zbytek natchnień tych niezrównanych talentów nie dozwalał im opracowywać dokładnie swoich dzieł; rzucali też perły jak z rogu obfitości mniej uważając na staranną oprawę, która, jak czas już dziś pokazuje, drugą i może ważniejszą piękna stanowi połowę. Wpływ Niemiec i Francji nie był jednakże bezskutecznym na włoskich twórców, gdyż w dziełach ich pisanych dla Paryża lub Wiednia, znajdujemy już pewną różnicę pod względem opracowania i instrumentacji, jakkolwiek z drugiej strony zmiana ta zacierała indywidualność twórcy. Dlatego D. we *Favoricie* nie jest tym samym, jakim go widzimy w *Elixir d'Amore*. Z całej opery akt IV. zdaje się nam najlepiej wypracowanym. W akcie I. II. i III. przebija często rodzaj muzyki francuskiej — Cabaletta do arji Leonory jest znowu czysto w stylu włoskim — a chóry są nawet gdzieniegdzie trywialne.

Wykonanie *Fawority*, znalazło starannych interpretatorów w artystach, odpowiednią wystawę ze strony dyrekcji, a więc i dobre przyjęcie u publiczności.

Partia Leonory (mezzo-soprano) zdaje się być bardzo odpowiednią dla głosu p. Juniewicz, posiadającej sympatyczne średnie i niskie tony, która z czystością intonacji łączy ważną zaletę t. j. sumienność wykonania. P. J. bowiem, nie ubiega się za niepotrzebnemi dodatkami i upiększeniami, nie wyszukuje karkołomnych kadencyj, które częstokroć zmieniają nie do poznania charakter utworu, ale stara się oddać swoją partję tak, jak ją chciał mieć sam autor. Usposobienie do ról więcej dramatycznych i niezaprzeczone w tym kierunku zdolności, zauważać można w jej recitativie i grze. Wybitniejsze frazy, zwłaszcza te, których efekt sam z siebie jest pewniejszy, podaje z należytą siłą i zrozumieniem. Deklamacja jej jednakże zyska o wiele, jeżeli artystka nie tylko na same mocne wyrazy zdania zechce zwracać uwagę, ale także wyrazy dopełniające myśl i mniejszego znaczenia z równą wyrazistością będzie wymawiała; zdarza się bowiem, że końcówki słów domyśleć się wypada.

W p. Aleksandrowiczu, który przedstawiał rolę Księcia (barytono), witamy dobrego spiewaka przyszłości. Mówimy „przyszłości“ gdyż obecnie tylko rozległy i sympatycznego brzmienia głos w sobie admirować on pozwala. Młody i początkujący artysta potrzebuje ośmielenia ze strony publiczności nie zaś surowej krytyki. P. A. posiadając głos równy, wystarczającą na scenę siłę, przyjemne i swobodne mezza-voce, obok dobrego muzykalnego smaku, jaki się w jego spiewie przebija, jeżeli nie będzie się zrażał trudnościami pierwszych występów, zająć może stanowisko kiedyś w rzędzie najlepszych artystów — i aktorów, gdy się ze sceną oswoi i bojaźń przestanie paraliżować jego ruchy na scenie. Za przykład mu w tym względzie stawiamy jego kolegę p. Zakrzewskiego, który się wiele wyrobił. Partja Fernanda zaliczoną być może do lepszych z jego repertoaru. P. Borkowski (Baltazare) był dobrze ucharakteryzowany i starał się być z intonacją w zgodzie.

Orkiestra dopóki nie doczeka się nowych instrumentów dętych, orkiestrą opery nazywać się nie będzie.

Walery Wysocki.

Kronika paryska.

Paryż — październik 1875 r.

Kwestją najbardziej tu dziś na dobie, najwięcej tutejszą interesującą publiczność, i tem samem najwięcej zasługującą na całego świata uwagę, jest kwestja „Wolności wyższych zakładów naukowych,“ (*Liberté de l' enseignement supérieur*), którą niedawno, i w potwierdzający sposób, rozstrzygnęło francuskie zgromadzenie narodowe.

Consumatum est! Stało się! Dzięki ultramontańskiej większości w dzisiejszym parlamencie, Francja, kto wie czy nie bezpowrotnie, rzuca się w objęcia klerykalizmu. Ojcowie Jezuici radośnie intonują hymny, partja zaś liberalna ze spuszczonym na kwintę nosem, rada nie rada musi się przyznać do absolutnej porażki.

I o szyderstwo losu! Ten krok wstecz narodu, który bądź co bądź zaprzeczyć trudno, na drodze cywilizacji wielkie był położył zasługi, krok ten jego

wstecz powiadam, stroi się złudnym epitetem wolności.

Tak to brzmi pięknie: Wolność oświaty! Któżby przeciwko takowej protestować się odważył? A czem to jest w gruncie?

Niczem jak tylko poddaniem przyszłych generacyj pod karczunek kliki, która z natury swej wstrętna wszystkiemu co jest postępem, nie omieszka skorzystać ze sposobności, aby z młodych głów i z serc młodych wykorzenić wszelkie zachcianki postępu.

To wymaga pewnych objaśnień, nieprawdaż? Spieszymy z niemi.

Od niejakiegoś czasu Francja, kolebka tylu świat odradzających rewolucyj, stała się na nowo ziemią obiecaną katolicyzmu. Pierworodna, niegdyś córa kościoła (*Fille aînée de l' Eglise*), przez chwilę zbuntowana, wróciła na nowo pod ojcowskie jego skrzydła. Dwadzieścia lat drugiego cesarstwa popchnęły ją na tej chwalebnej drodze o całe staje naprzód.

Epoka ta rozpusty, nadzwyczajną odznaczała się religijnością. Cuda posypały się jak z rękawa: „Lourdes", „Salette", „Paray le Monial" nadzwyczajnemi zasłynęły zjawiskami. Tłumy nabożnych pielgrzymów, zwidzających te święte miejsca, zaczęły dalipan przypominać średnie wieki. Święto-Pietrze i krew pierwszych rodzin Francji pod Mentaną obfitym na korzyść Rzymu lejąc się strumieniem, zaoskomiły wielebnych ojców. Chodziło im o co? O utrwalenie tak błogiego stanu rzeczy, o ucięcie (styl klasyczny) raz na zawsze głowy hydrze rewolucji, o użyźnienie zagonu (Francją zwanego) tak, by im tylko potrzebne wydawał jarzyny.

Zrozumiawszy, iż najlepszym ku temu środkiem będzie ujęcie w swe dłonie wychowania publicznego, ojcowie pomaleńku, w tę stronę obrócili wszystkie baterje swoich usiłowań, tak jawnych, jak skrytych. Rzecz szła z początku nie raźnie, żółwim krokiem, po ślimaczemu.

Bądź co bądź, naród, który tyle krwi przelał dla wolności, i który przywykł był już potrosze do smacznych jej owoców, tak łatwo nie pozwala się z nich wydziedziczyć.

Ale na wytrwałości ojcom nie zbywa. Umieją oni zygzakami, przystając w drodze, cofając się nawet, gdy trzeba, zmierzać wciąż do celu z góry wytkniętego.

Naprzód pojawiły się malutkie szkółeczki, w których najbardziej śledcze oko, żadnych wybitnych dostrzedz by nie zdołało tendencyj. Miłosierne zakłady dla sierot, dla opuszczonych dzieci itp. Niska, pokorna furtka, któżby miał serce zatrzasnąć ją przed tymi, co z chętną dla cierpiącej ludzkości, spieszyć się zdają pomocą? Tak, zaj ewne, z początku. Ale potem? Powodzenie ośmiela. Widoczną protekcją cesarskiego rządu wygrzane, za szkółkami pojawiły się szkoły, kolegja, licea.

Jednem słowem, w niespełna lat trzydzieści przeważna większość niższych i średnich zakładów naukowych znalazła się w ich ręku. Gmach mozolnym wzniesiony trudem, potrzebował już tylko nakrycia, kopuły mu tylko niedostawało.

Kopułą tą, każdy zrozumie, było wykształcenie wyższe. Uniwersytet świecki, jedyny rozdawca dyplomów, ostateczny pośrednik między szkołą a życiem, kłuł w oczy wielebnych. Wiedzieli oni, że na ławach jego, pod ożywczym wiedzy podmuchem, skrzętne ich zasiewy niekoniecznie takim, jakiego im trzeba, rozwijać się mogą plonem. I chodziło im o zdobycie tej ostatniej twierdzy, po za murami której rozum, postęp, światło opierały się zaciętym ich atakom. I oto czego dwadzieścia lat cesarstwa dać im nie zdołały, to im daje dzisiejsza „pseudo-rzeczpospolita."

Niedawno przez Zgromadzenie narodowe zawotowany, niepomnę już który paragraf ustawy „O wychowaniu publicznem" upoważnia ich do fundowania uniwersytetów tak zwanych „katolickich" w ilości pozostawionej ich własnemu sądowi.

Biorąc dziecię z rąk matki, i przeprowadzając je przez tendencyjnie, według z góry obmyślanych zasad, urządzoną najpierw szkółkę, następnie kolegjum, a nakoniec uniwersytet, widzicie ztąd, jakiego wytworzyć zeń potrafią cudaka. *Consumatum est!* powtarzam. Dzięki ultramontańskiej większości w dzisiejszym swym parlamencie, Francja, kto wie czy nie bezpowrotnie, w klerykalizmu rzuciła się objęcia. Prawdzie słów naszych przyszłe zaświadczą pokolenia.

Lecz szepnąć mi może zatwardziały jakiś optymista — otwarcie uniwersytetów katolickich, nie jest jeszcze zamknięciem uniwersytetów świeckich. Dlaczegoż te ostatnie, udoskonaleniem odczytów, doborem profesorów, i jasnością wiedzy, nie mogłyby zniweczyć, a przynajmniej zrównoważyć zgubnych tamtych wpływów? Nierówna walka, odpowiemy mu na to, nierówna walka!

Z jednej strony energiczne usiłowania wydyscyplinowanej partji, której idzie o życie, która nie przebiera w środkach, wielkiemi rozporządza kapitałami, a która wreszcie tak w izbie jak w ministerjum, sporo liczy popleczników; z drugiej strony przymusowa inercja rozstrzelonego stronnictwa liberałów, któremu zbywa na wszystkiem, na dyscyplinie, na funduszach, na rządowej protekcji, i które zdyskredytowane w oczach konserwatystów, przez nieszczęśliwe, a Bóg wie jak niesłusznie mu przypisywane szaleństwa „komuny," więcej niż połowę z dawniejszego swego postradało znaczenia. Nierówna walka! powtarzam, zbyt nierówna walka!

A przytem biorąc rzeczy i głębiej i dalej, niemasz może pod słońcem narodu mniej zdolnego do praktycznego zastosowania wolności, do normalnego, spokojnego rozwoju liberalnych ideji, jak ten sławetny naród francuski.

Umie on wybuchać gwałtownie, umie, gdy złe nadto mu już dogryzie, zrywać się jak ów lew rozjuszony i jednym zamachem potężnych szponów rozprawiać się z dręczącem go plugastwem; ale nie umie ze zwycięztw dostatecznych wyciągać korzyści, nie umie pognębionego nieprzyjaciela w zbawien ym utrzymać rygorze. Po raptownym paroksyzmie gniewu natychmiast silnej ulega reakcji, kładnie się spać spokojnie i pozwala, by wystraszone i przycupłe gdzieś w podziemnych norach robactwo, znów mu na kark i na głowę, z właściwą sobie lezło bezczelnością.

Dzieje jego, to ciągła iż się tak wyrażę, huśtawka. W górę i na dół! Na dół! W górę! Po terroryzmie czerwonym, terroryzm biały. Po ekscesach rządów monarchicznych, ekscesa motłochu. Po „dragonadach" Ludwika XIV. „rzezie wrześniowe" Danton'a. Po mordach ulicznych z rozkazu Napoleona III w grudniu 1852 r. mordy „zakładników" z rozkazu Raoul'a Rigault i jemu podobnych w maju 1871 r. Po doraźnych sądach tych ostatnich, doraźne sądy rozwścieklonego żołdactwa, które wdarłszy się do zdobytej stolicy, rozstrzeliwało na prawo i na lewo, bez dalszej nad słowo: „Pal!" procedury.

Oto dzieje narodu, który mieni się apostołem wolności, a który, mówiąc między nami, nie wart być jej żakiem!

Nie żądajcie odeń umiarkowania, nigdy i w niczem. Nie żądajcie odeń poglądu w przyszłość i spokojnego, legalnego zapobiegania grożącemu kataklizmowi. Gdy ten przyjdzie — zobaczemy! spokojnym, pełnym pewności siebie odpowie wam tonem. Zobaczemy? Co? Gilotynę, mordy i bójki uliczne?

Widzieliśmy już pierwszą w nieustannym, przez lat kilka, ruchu. Widzieliśmy i drugich i trzecich co niemiara. I jakież z nich skutki?

A skutków trzeba wspaniałych, by tak ohydne usprawiedliwić środki.

Jezuityzm górą! A zatem?

Patrzmy jeszcze głębiej i jeszcze dalej, goniąc za ostatecznem rozwiązaniem naszej tezy.

Do lat 40tu życia, każdy Francuz jest wolnomyślicielem, ateuszem, demagogiem. Dopóki się pewnej nie dochrapie fortuny, każdy Francuz: *La propriété c'est le vol!* powtarza za socjalistą Proudhon'em. Nie ma się czego trwożyć! Po 40tu latach, ten wszelką władzę wywracający buntownik ten ołtarze kruszący niedowiarek, na pokorne złagodnieje jagnię, za orderową wstążkę uściśnie kolana nienawistnej władzy; za obietnicę zbawienia (nie myślcie bym przesadzał) stanie się dobrodziejem swojej parafji. Nie ma się czego trwożyć. Z pękiem akcyj czy obligacyj w biurku, ów zacięty wszelkiej własności nieprzyjaciel, zaciętym jej zjawi się adwokatem. Gdybyż tylko tyle! Ale gdzie tam! W tem to sęk właśnie. Z starych wybrnąwszy błędów, w nowe brnie po szyję. Im dalej przedtem na anarchji i niewiary był drodze, tem dalej teraz w przeciwną zapędza się stronę. Parwenjusz wzbogacony, *Nous sommes arrivés!* krzyczy — *eh bien! Tirons l'echelle!* I niemasz gromów, których by nie cisnął na głowy tych, co młodzi jeszcze i ubodzy bredzą, jak on bredził wczoraj. I nie masz kar i prześladowań dość energicznych, których by się nie domagał przeciwko tym, co radzi, jak on, socjalne zdobyć wyżyny, bombardują je artylerją paradoksów. Anarchiści! Ateusze! Do turmy z nimi! Do nowej Kaledonji!

Historja to, powiecie, całej ludzkości, a nie jednego tylko narodu. Zapewne!

Typy takie dorobkowiczów, renegatów, plujących w krynicę, z której już pić nie potrzebują, egzystują wszędzie, lecz twierdzę, iż nigdzie tak licznie jak tu właśnie.

Przeskoki od jednej opinji do drugiej, zdarzają się i poza granicami Francji, lecz twierdzę, że nigdzie tak powszednią, tak w krew i w zwyczaje narodu przeszłą, tak ogólnie grasującą nie są chorobą.

Zrozumiejmy się dokładnie! Nie mowa tu przecie o pewnej modyfikacji przekonań, życiem wywołanej. Taka jest koniecznością. Idjota tylko, wbrew doświadczeniom, przy dawnych trwa błędach.

Młode piwko szumi zazwyczaj, i dopiero wyszumiawszy staje się klarownym napojem.

Nie mowa tu o niczem podobnem. Mowa tu o odszczepieństwach gwałtownych, o susach raptownych od jednego do drugiego bieguna, dokonanych nie przez dzieci, nie przez młodzież, a przez ludzi już dojrzałych, przez ludzi, którzy na ołtarzu tej lub owej opinji złożyli już ofiarę pewnych trzeźwo obmyślanych czynów.

Na los szczęścia otwórzmy dzieje ostatnich lat stu we Francji. Co w nich zobaczymy? Setki takich „Fouché", którzy z królobójców, z zagorzałych Jakubinów, z podżegaczy najkrwawszej pod słońcem rewolucji, zostali potem poplecznikami tyranji, gorszej niż ta, z którą walczyli za młodu, tyranji Bonapartego, tyranji zrestaurowanych Bourbonów, tysiące takich Ollivierów, którzy z naczelników opozycji przeciwko Cesarstwu, budzili się najnikczemniejszymi tegoż Cesarstwa służalcami.

Mowa tu o takich apostazjach możebnych, przypuszczalnych zapewne wszędzie, jak możebnym i przypuszczalnym jest piorun w Grudniu lub w Styczniu, naturalnych we Francji, jak naturalnym jest ten piorun w ciągu Czerwcowych upałów.

Przenośnia łatwa do zrozumienia i porównanie, wierzajcie mi, nie przesadzone.

Naród tak usposobiony, zgódźcie się sami, to smaczna dla Wielebnych ojców gratka. *Ils ont le beau jeu avec* i byleby zdołali pochwyceniem w swoje dłonie wychowania publicznego (co dziś stało się faktem) skarcić i zneutralizować niebezpieczne popędy jego lat młodzieńczych, to resztę trudu zostawiając naturze, będą mogli czekać spokojnie, a „pieczone gołąbki" jak mówi przysłowie „same nie wpadną do gąbki".

Szczupłej zaś garści istotnych liberałów ani myśleć o zapasach z potężnym przeciwnikiem, który w głębiach charakteru narodowego, jekeśmy się dowieść starali, znajduje racjonalne podstawy swego tryumfu.

Nie! *Consumatum est!* i przyszłość nie trudna do wywróżenia. Przyszłość ta pokaże nam Francję, nieraz może jeszcze miotaną huraganem rozruchów domowych. Przyszłość ta nie pokaże nam Francji, spokojnej, legalnej, cieszącej się wolnością. Wolność, a z nią i cywilizacja przesiedlić się muszą gdzie indziej i przesiedlą się — bez wątpienia.

Lecz pora, by już zwrócić w inną stronę kronikarskie nasze spojrzenia.

Świat elegancki jeszcze za murami miasta, jeszcze się pluszcze w morzu, lub korzystając z myśliwskiego sezonu, jeszcze się za nieszczęśliwą a coraz rzadszą we Francji ugania zwierzyną. Paryż minę ma oberży, wymytej i wyszczotkowanej na przyjęcie gości, którzy jakoś się ociągają ze swoim przyjazdem. Handlarska część jego ludności wciąż zarabiać rada, promieniom jesiennego słońca zaciśniętym grozi kułakiem i wichry i chłód i słotę, z łatwą do zrozumienia przyzywa tęsknicą.

Teatra jakkolwiek już otwarte, z żadną jeszcze wybitną nie wystąpiły nowością. Większość ich kontentuje się wyciąganiem ostatnich możliwych zysków z przeszłorocznych sukcesów.

Niedaleka przyszłość, dla amatorów sztuki dramatycznej, ładnemi lśni się obietnicami. Mamy w perspektywie nową 4aktową komedję Dumasa pod tytu-

łem „Cudzoziemka“ (*l'Etrangère*) nową, niewiem w wielu aktach komedję Barrière pod tytułem „Skandal“ (*le Scandale*) i coś nowego Augier'a, i coś nowego Sardou, i coś nowego Meilhac'a. Pod względem zaś leciuchnych operetek Offenbacha i Lecoq'a, to całą nam onych zapowiadają nawalnicę. Sala wielkiej Opery do maskowych gotuje się balów. Bal Frascati odświeżony i powiększony, także złociste uchyla podwoje. Jednem słowem, czeka nas tu zima jak mało. Dalej bogaci Polacy! Co tam, że kraj wasz ojczysty brudny i zrujnowany, że silnych grosza potrzebowałby nakładów, wy bardziej o użycie dbali niż o korzyść, wy nakłady te nieście — Paryżowi!

Z najnowszych tutejszych księgarskich lub dziennikarskich publikacyj, dwie głównie nas Polaków mogą zainteresować.

Pierwszą jest historyczna praca p. Juljana Klaczki „Dwaj kanclerze“ (*Les deux chanceliers*) której ostatni ustęp *Revue des deux mondes* we wrześniowym umieściła numerze. Drugą jest „Korespondencja króla Stanisława Augusta Poniatowskiego z panią Geoffrin od 1764 do 1777 r.“ wydana staraniem Karola de Moüy, a nakładem księgarni Plon et et Cie.

O dziełku p. Klaczki nie wiele wam co powiedzieć mamy. Sprawozdanie z niego pojawiło się już w *Czasie* krakowskim. Spóźnieni z naszem, w króciuchnych streścimy je słowach.

Rzecz napisana z błyszczącą werwą i świetnym talentem, ale stronnie, ale z fałszywego punktu obserwacji, smutne sprawia wrażenie ciśniętych bogactw za okno, sił zużytych na posługi potępionej i bezsensownej sprawie.

Aleć tą sprawą ani „Panslawizm“ ani „Bismarczyzna“ jak to mu „Tydzień“ w przedostatnim zarzuca numerze. Zarzut to, dalipan, niesłuszny. Klaczko zagorzały ultramontanin, nietylko że nie wielbi Bismarka, ale owszem (wczytajcie się w utwór głębiej) odmawia mu konsekwencji w działaniach, siły przekonań, bo nawet talentu, a tryumfy jego przypisuje niesłychanemu li szczęściu, zbiegowi wypadków, tej wreszcie pomyślnej dla Bismarka okoliczności, iż Napoleon III. (drugi po Papieżu p. Klaczki ideał), „marzyciel“ (reveur) (!!) zagłębiony w swych szerokich „humanitarnych“ dumach (!!!) nad szczęściem ludzkości (!!!), upuścił z oka wąskie koleje poziomej polityki.

To zaś, co „Tydzień“ w elukubracji p. Klaczki bierze za propagandę „Panslawizmu“ nie jest widzi nam się niczem więcej, jak tylko echem predominującej tu w publicystyce teraźniejszej nuty, łaszenia się Rossji i poświęcania na jej ołtarzu dawniejszych francuskich dla Polski sympatyj. By być „panslawistą“ trzeba być złym lub dobrym, to zależy od sposobu widzenia rzeczy, lecz trzeba być zawsze Polakiem, trzeba biedować nad losami nieszczęśliwej ojczyzny naszej i rozmyślać (choć w sposób błędny być może — *Errare humanum est*) jakby takowe poprawić. Otóż p. Klaczko na tyle jest Polakiem, na ile ja jestem nie wiem czem, choćby Rumunem. Mylę się... losy Rumunji, ze względu na bliskie jej z ziemią moją sąsiedztwo, obchodzą mię stokroć więcej, niż pana Klaczkę losy Polski, w której urodził się przypadkiem. Wierzajcie mi, p. Klaczko nie należy zgoła do obłąkanej, lecz godniejszej jeszcze szacunku sekty „Panslawistów“. P. Klaczko jest na poły Austrjakiem, na poły Francuzem, w summie „kosmopolitą“. Tam ma ojczyznę, gdzie mu dobrze. Gniewa się chwilowo na Prusaków, za Strassburg i za Sadowę więcej niż za Gdańsk, Poznań i za rok 1772. Zapomniał w nich poszczuwaczów Rozbiorów, pamięta oponentów władzy Ojca Śgo.

„Korespondencja króla Stanisław Augusta z panią Geoffrin“ zjawia się światu w postaci dość grubego, w 8ce tomu. Listów w nim przez obie pisanych strony, przeszło 160. Treścią ich w przeważnej większości prywatne królewskie interesa, drobne dworskie intryżki, artystyczne uwagi i zlecenia, wymiana wreszcie zobopulnych czułostek, które częstokroć dziwaczną przybierają formę. Te ciągłe „je baise et je rebaise avec delice les belles mains de Votre Majesté“ ze strony staruszki, (urodzona 1699 roku, starszą była od króla urodzonego w 1732 r. o całe 33 lata, i pisując wspomniane listy, miała już ich pod 70) nie wiem jak na kim, ale na mnie niesmaczne robią wrażenie.

Wypadki polityczne daleko mniejszą grają w nich rolę, i od czasu do czasu tylko, w zwięzłych, lakonicznych, na scenę występują frazesach. Opinja publiczna, o tym ostatnim królu nieszczęśliwej ojczyzny naszej, już sformowana, i listy, o których mowa, jej nie zmodyfikują. Na czele narodu potężnego, wstępując na tron Polski po Zygmuntach naprzykład, lub po Batorym, byłby on niezgorszym monarchą i zostawiłby po sobie wspomnienie liberalnego opiekuna sztuk i nauk. Przywiązanie jakie potrafił wzbudzić w znających go bliżej osobach, ot choćby w tej starej swej korespondentce, mającej ogólną reputację wielkiego rozsądku, dowodzi, iż nie zbywało mu na przymiotach osobistych, godnych uznania. Niektóre ustępy wspomnionej korespondencji, znamionują w nim wielką słodycz charakteru, dużo serca dla tych, których ukochał prawdziwie, dużo wdzięczności dla tych, którzy go w czemś zobowiązali, prawdziwie królewską hojność wreszcie względem tych, którėmi się posługiwał.

Cnoty to bezwątpienia piękne, ale ich jednych za mało na tronie, na tronie zwłaszcza chwiejącym się, pod podmuchem tylu burz.

Mógłby się był bez nich obejść wybornie i z wielką dla narodu swego korzyścią, zastępując słodycz charakteru,— energją, zbytek serca,—dostatkiem woli, hojność wreszcie— przezornością. Niestety tych trzech cnót kardynalnych, tych trzech cnót niezbędnych dla monarchy zawsze, a wówczas szczególniej, brakowało mu zupełnie. W niedostatku dziejów, w niedostatku innych źródeł, korespondencja, o której mowa, wystarczyłaby aż nadto, by go ocenić pod tym względem.

Natrafiliśmy w niej na ślady naiwnej głupoty. Donosząc o elekcji swej na króla pisze: „W ciągu dziejów naszych nie ma przykładu elekcji tak spokojnej i tak jednogłośnej,“ zapominając czy niechcąc pamiętać o bagnetach moskiewskich, głównej, jeśli nie jedynej przyczynie tej mniemanej jednozgodności.

Na ślady śmiesznej próżności.

Wilją prawie pierwszego rozbioru, silnie się zajmował ważną kwestją, czy zagraniczne dwory przyznają braciom jego, Prymasowi i Wielkiemu Podkomorzemu, tytuł *Altesse* i w celu załatwienia jej pomyślnego, wysyłał specjalnych ajentów dyplomatycznych do Wiednia i Paryża.

Na ślady brzydkiego wreszcie sobkowstwa w obliczu klęsk, jakie spadały na naród, który go mianował swym monarchą.

W liście datowanym z dnia 19. września 1772 roku, to jest w chwili, gdy wojska pruskie zajmywały prowincje, mające odpaść od Polski na ich korzyść, czytamy: „Z tem co zabierają Polsce, ja tracę dwie trzecie mego dochodu, jedna trzecia pozostająca zależy często od dyskrecyj.“

Oto o czem myślał król Polski wobec gwałtów dokonywanych na ojczyźnie. O utracie części dochodów i o tem jak z reszty wyżyć potrafi! Ani przebłysku nigdzie skruchy, żalu nad biednym narodem, lepszych względem niego intencji.

W ogóle smutna lektura nie polepszająca opinji o królu, a pogorszająca ją o wyższych sferach owoczasowego społeczeństwa.

Nie doradzamy jej nikomu, ktoby jak my drażliwe miał nerwy, i nie lubił we własnych rozpatrywać się ranach. Usposobi go bowiem szkaradnie.

Do przyszłego listu

J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Na chwilę carem. Dramat w pięciu aktach i ośmiu obrazach. Wzięty z historji Polski i Rossji (1605 — 1606) przez Juljusza Falkowskiego. Poznań — 1876.

Z przedmowy dowiadujemy się, że dramat niniejszy wyszedł w języku francuskim w 1873 r. Teraz przepolszczył go autor i poczynił w nim ważne zmiany, które nadają inną prawie postać dziełu. Nie znając francuskiego oryginału nie jesteśmy w stanie wykazać tej różnicy. — Bohaterem dramatu jest Dymitr Samozwaniec, który usiłował przeistoczyć Rossję. Postacie rossyjskie skreślił autor podług źródeł rossyjskich. Panowie polscy, jak Stadnicki, Tarło, Fredro, a panie polskie, jak Maryna Mniszchówna i Księżna Urszula Wiśniowiecka, są skreśleni z historyczną prawdą. Myśl przewodnią dramatu stanowi wykazanie wpływu Polski na Rossję, gdy ta w najciemniejszem barbarzyństwie była pogrążoną. Autorowi moglibyśmy zarzucić czasem nadto długie djalogi. Wydanie, jak wszystkie w ogóle wydawnictwa Żupańskiego, odznacza się wielką starannością a nawet pewną wytwornością.

— Anatomja pszczoły, opracował Michał Girdwojń ze Żmudzi. Nakładem Żupańskiego. Paryż — 1875.

Świetna ta praca została zaszczyconą przez Towarzystwo rolnicze Krakowskie medalem pierwszym (srebrnym) a przez sędziów międzynarodowych na wystawie powszechnej w Wiedniu medalem zasługi. Do tekstu dodano 12 litografowanych tablic. Hrabia Marjan Czapski umieścił w „Ziemianinie“ wyczerpującą ocenę tej anatomji pszczoły, która wyszła obecnie w osobnej odbitce.

— Wspomnienia z wygnania 1865 — 1874. Przez hr. Zygmunta Kiedreja. Poznań — 1875.

— Przegląd kwestji spornych o Rusi przez Marjana Gorżkowskiego. W Krakowie. — 1675.

Francuska.

— Les ancêtres d'Adam, histoire de l'homme fossile par Victor Meunier. Paris—1875.—J. Rothschild.

Mistrzami w popularnem opowiadaniu najważniejszych zagadnień są Francuzi. Najznakomitsi uczeni francuscy starają się naukę rozszerzać pomiędzy wszystkie warstwy społeczeństwa. Niniejsze dzieło, stanowi nowy dowód tego powszechnie, bo nawet przez wrogich Francuzom Niemców przyznanego faktu. Autor podaje nam rezultaty badań nad człowiekiem z epoki kamiennej, mówi o pierwszem odkryciu śladów jego istnienia przez badacza M. Boucher de Perthes, o sporze ztąd powstałym, przyznaje dalej fakt istnienia człowieka w epoce diluwjalnej, i na podstawie najnowszych odkryć usuwa wszelkie wątpliwości co do istnienia człowieka w okresie Mamuta. — W całym ciągu dzieła swego okazuje autor, że jest panem przedmiotu, a co najbardziej uderza, to wykład popularny, dla każdego przystępny, a przytem wytworny.

— La pluie et le beau temps; Météorologie usuelle. Ouvrage orné de 110 gravures et cartes par Paul Laurerein. Paris — Rotschild.

Dzieło niniejsze, zajmujące się także w popularny sposób meteorologją, nie odznacza się już tą wytwornością stylu co poprzednie; szczególnie odnosi się to do rozdziału, w którym autor mówi o tak zwanych przepowiedniach pogody.

Nowości

podawane przez księgarnię

Seyfarta i Czajkowskiego

we Lwowie.

Dobrowolny powrót Unitów podlaskich na łono kościoła prawosławnego. 8. 31 str. Kraków, 1875. 30 kr.

Czapski, hr. M. Nieco o przyrodzie pszczoły, przy sposobności świeżo wyszłej z druku „Anatomji pszczoły“ Girdwojna 8. 25 str. Poznań, 1875. (Dodatek bezpłatny do Anatomji pszczoły).

Falkowski Juljusz. Na chwilę Carem. Dramat w pięciu aktach i ośmiu obrazach. Wzięty z historji Polski i Rossji (1605 — 1606) 8. 179 str. Poznań 1875. Złr. 3.

Girdwojń Michał. Anatomja pszczoły. 4. z 12 tablicami (170 figurami) Paryż, 1875. Złr. 7.20 kr.

Kalendarz rolników Szląskich na r. 1876. 8. 110 str. Cieszyn 1875. 36 kr.

Kierdej, hr. Zygmunt. Wspomnienia z wygnania 1865—1874. 8. 132 str. Poznań, 1875. Złr. 1.20 kr.

Krechowiecki A. A. Nauki niedzielne. Skład apostolski według ewangelji i ojców kościoła Tom II. 8. 522 Lwów, 1875. Złr. 2.50 kr.

Mazurkiewicz, dr. J. Theologiae Moralis compendium pro usu praelectionum 2ty. 8. Tarnow, 1875. Złr. 6.50 kr.

Miklosich Franz. Vergleichende Grammatik der slavischen Sprachen, II. tom i Stammbildungslehre. 8. (504 str.) Wiedeń, 1875. Złr. 10.

Rychlicki. Tadeusz Kościuszko i rozbiór Polski. Wydanie 2gie ozdobione rycinami. 8. (517 str.) Kraków, 1875. Zlr. 3.

Sprawozdanie dyrektora c. k. Gimnazjum Nowodworskiego czyli św. Anny w Krakowie. 8. (88 str.) Kraków 1875. 35 kr.

Verne J. Tajemnicza wyspa I. „Rozbitki w powietrzu„ przełożył z francuskiego J. Pł. 8. 1 złr. 80 kr.

Wilkońska Paulina. Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem na prowincji w Kongresówce. 2 tomy, 8. (500 str.) Poznań. 1875. Złr. 3.60 kr.

Zdżarska Józefa. Książka do nabożeństwa dla kobiet. 32. (661 str.) Poznań, 1875 Złr. 2.40 kr.

Dzieła francuskie.

Rossert, A. Goethe et Schiller. 8. 406 str. Paris 1875 Złr. 3.60 kr.

La France et les Polonais. Apercu historique depuis le dixième siècle jusqu'a nos jours par un ami des deux nations. 8. 161 str. Strassburg, 1875. Złr. 1.80 kr.

Moüy, Ch. Correspondance inédite de roi Stanislas—Auguste Poniatowski et de Madame Geoffrin (1764—1777.) 8. (529 str.) Paryż, 1873. Zł. 4.80 kr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

Znając naturę ludzką, a przedewszystkiem tych, którzy mieszkają w Galicji, nie zwykliśmy uskarżać się na obojętność publiczności naszej okazywaną zawsze i wszędzie. Nie skarżąc się i dziś — stwierdzamy tylko fakt, że w głównej sali Zakładu Imienia Ossolińskich jest od kilku tygodni wystawiona *Unja* Matejki, a ciekawych ją ujrzeć, przychodzi tam dziennie *dwóch, trzech*, a czasem *i nikt*. Tak brzmi prawda — więc na cóżby się tu skarga przydała!... Prócz *Unji*, sala ta mieści kilka bardzo cennych dzieł sztuki, a w ostatnich dniach p. G. przywiózł z Paryża kilka bardzo pięknych kopij, dzieł Murilla, Correggia, Raffaela, kopij wiernych i z prawdziwie artystycznym smakiem wykonanych, które tam także wystawił. 20 centów nie wiele — warto je poświęcić na ołtarzu sztuki... wszak na cygara nierównie więcej wydajemy! A może zabłąka się i taki, który widząc niską cenę na kopjach p. G. kupi choć jednę... Przełożeni naszych zakonów i kościołów świeckich mogliby pójść oglądnąć *Madonnę* Murilla. Obraz ten, rozmiarów więcej jak naturalnych, kosztuje tylko 1.000 guldenów. Za tę cenę nie znajdziecie nigdzie równego dzieła. Lepiej zaś ofiarować 1000 i mieć coś prawdziwie pięknego, niż zapłacić kilkaset guldenów za płótno, którego wartość można ocenić tylko na ilość stóp kwadratowych. Nie żałujcie dwudziestu centów i oglądnijcie, a gniewać się na nas nie będziecie.

— Powieść Jana Lama „Głowy do pozłoty“ wyjdzie w przekładzie niemieckim w „Romanmagazin des Auslandes“ wydawanym w Berlinie przez pana Otto Jancke. Przekładu dokonała pani Au.

Lwowskie Tow. przyjaciół sztuk pięknych daje w tym roku członkom swoim na premję litografję obrazu Rodakowskiego, przedstawiającą „Wojnę kokoszą.“

— Zarząd muzeum przemysłowego we Lwowie urządza w tym roku co niedziela po południu odczyty popularne z nauk przyrodniczych. Myśl tę bardzo pochwalamy.

— W ubiegłym tygodniu przedstawiono po raz pierwszy na naszej scenie ostatnią komedję śp. Chęcińskiego, pt. *Krytycy*. Ocenę tego utworu, wraz z oceną *Niewinnych* umieścimy w przyszłym numerze.

— P. Wilhelm Czerwiński, znany nasz kompozytor pracuje obecnie nad nowym utworem, który w całości będzie obrazem symfonicznym, składającym się z czterech części.

— Komitet zbierający składki na zakupienie *Unji* Matejki, ogłosił sprawozdanie z całorocznych swoich czynności. Dowiadujemy się z niego, że dotąd zebrano 22.000 guld. Brakuje zatem jeszcze 8.000 guldenów. Przypominamy wszystkim prawym obywatelom kraju, aby gorliwem zbieraniem składek, przyczynili się do urzeczywistnienia dzieła, które będzie prawdziwą chlubą naszej prowincji.

— Paweł Baudry, sławny dekorator wielkiej Opery paryskiej, postanowił przedstawić w dwunastu malowidłach historję Dziewicy Orleańskiej.

Zapowiedziane w Warszawie „Album Willanowskie“ w którem zostaną pomieszczone ryciny przedstawiające najpiękniejsze pamiątki tego pałacu, zaczęło już wychodzić nakładem spadkobierców Orgelbranda. Tekst objaśniający jest pióra Skimborowicza.

— Teatralny sezon w Paryżu zaczyna się ożywiać. Teatry jeden za drugim wprowadzają nowe sztuki. Najbardziej interesującą z tych nowości, jest niewątpliwie czarodziejskie widowisko (féerie) pt. „Podróż na księżyc“ — wystawione na scenie teatru „Gaité“ przez nowego dyrektora p. Vincentini. Treść tej sztuki oparta po części na znanem fantastycznem opowiadaniu Juliusza Verne'a pt. „Na około księżyca.“ W pierwszych aktach przed oczami widzów zjawia się wnętrze paryskiego obserwatorjum i kolosalne działo, z którego ma być wyrzuconym aluminjowy pocisk, mieszczący w sobie podróżników. Dalej widz jest świadkiem jak pocisk ten wylatuje z paszczy działa, stopniowo zbliża się do księżyca i spada nań wreszcie. Tu kończy się podobieństwo z romansem Verne'a, a zaczyna się prawdziwa „féerie.“ Na scenie zjawiają się „Selinici“ mieszkańcy księżyca i rozwija się ów chaos czarów, dziwactw, osobliwości, charakteryzujący fantastyczne francuskie sztuki. Wystawa przechodzi wszelkie wyobrażenie — pod względem przepychu. Dekoracje wspaniałe, kostjumy wykonane podług rysunków Grevin'a. Vincentini wydał na tę awanturę niesłychaną moc pieniędzy, licząc na powodzenie równe temu jakie miał utwor Verne'a „Le tour du Monde“ przedstawiany w teatrze „Port Saint Martin.“ Nie braknie i w tej nowej sztuce zwierzęcia na scenie — tylko zamiast słonia, zjawia się prawdziwy biały dromader. Jeżeli p. Vincentiniego zawiodą jego oczekiwania, — przedsiębiorczy dyrektor „Gaité“ ujrzy się naraz i gruntownie zrujnowanym.

Zjazd strażacki.

— Jakkolwiek dla braku miejsca może trochę za późno, uważamy jednak za obowiązek opisać pokrótce „pierwszy Zjazd strażacki,“ gdyż była to prawdziwa uroczystość, której Lwów był widownią. Właściwym celem tego zjazdu była myśl, podana już w r. 1873 w Krakowie, utworzenia „Związku krajowego strażackiego,“ poruszona na nowo na zjeździe w Brodach i ostatecznie dzisiaj doprowadzona do skutku. Nie będziemy się rozpisywali nad znaczeniem straży ogniowych, jako instytucji publicznej, ani nad doniosłością praktyczną i moralną podobnego związku; każdy bowiem głębiej myślący zrozumie, że jest to prawdziwa „praca organiczna“, w której nie ma ani okruszyny frazesu. Z prawdziwą więc radością powitaliśmy przybywające ze wszech stron koleją delegacje straży, których przybyło blisko 60, a że radość ta była powszechną, okazało się to nazajutrz przy świetnym pochodzie zebranych straży z muzyką, któremu towarzyszyły tłumy publiczności entuzjastycznie i świątecznie usposobionej. Był to prawdziwie wspaniały i wzruszający pochód. W jak największym porządku, z młodzieńczą rześkością, pod czterema sztandarami, przy odgłosie wybornego marszu, postępowały ochotnicze szeregi zatrzymując się z kolei przed katedrą, kościołem ewangelickim, cerkwią wołoską i wreszcie synagogą izraelicką na Krakowskiem. Wszędzie na powitanie ich wychodziło duchowieństwo w stroju pontyfikalnym — a przed synagogą gorącą i pełną wzniosłych myśli przemową pozdrowił ich rabin Loewenstein. Dla kilku cytat polskich i ducha humanitarnego wiejącego w całej pełni z tej przemowy, wybaczamy mowcy, że wygłosił ją w języku niemieckim — choć stokroć milej by nam było usłyszeć w owej chwili ojczyste dźwięki! Cień Jastrowa i Meisela powinien był podszepnąć tę myśl czcigodnemu mowcy. Po godzinie dwunastej zebranych delegatów powitał w sali ratuszowej p. prezydent Jasiński, podnosząc wzniosłe zadanie instytucji przez nich reprezentowanej i zasługę jej inicjatorów. Następnie pod prezydencją p. Millereta rozpoczęły się obrady zjazdu, od referatu p. Henryka Rewakowicza redaktora *Dzien. Polskiego*. Wybraniem komisji do przejrzenia statutu, ułożonego przez Wydział lwowski straży ogniowej i mającego już prawną podstawę, zakończono to pierwsze posiedzenie. Wspólny objad w sali sejmowej połączył znowu zebranie. Zasiadło do niego 356 współbiesiadników. Wieczorem zaś o 6ej po koncercie p. Mikulego w sali Narodnego Domu, w którym najprzedniejsze siły muzykalne przyjęły serdeczny udział, rozpoczęła się zabawa taneczna, przeciągnięta aż do godziny 2ej po północy. Podczas tej zabawy komisja statutowa obradowała na strażnicy miejskiej i owocem jej pracy było kilka zmian w statucie, z których najgłówniejsze oznaczenie maksimum wkładek dla członków na 50 centów, oraz uchwała tycząca się siedziby Związku, naprzemian co dwa lata w Krakowie i Lwowie, następnie jednakże na walnem zgromadzeniu, ogromną większością zniesiona na korzyść stałej siedziby we Lwowie. W dniu ostatnim wreszcie w poniedziałek zrana odbyto przegląd przyrządów pożarniczych straży miejskiej i popis straży lwowskiej, a następnie, przeciskając się przez tłumy natłoczonej przy kasie i w przedsionku teatralnym publiczności, zebranie udało się na przedstawienie sceniczne, połączone z koncertem w teatrze hr. Skarbka. Przedstawienie składało się ze sceny dramatycznej „Na strażnicy,“ napisanej przez Wł. Ordona, komedyjki „Za pozwoleniem łaskawa pani“ i koncertu instrumentalno-wokalnego. Szczególnie utwór pierwszy, wygłoszony przez p. Ładnowskiego, wywołał w sali prawdziwy entuzjazm. Poemat cały, napisany pięknym wierszem i z wyższym polotem, takie na publiczności zrobił wrażenie, że ta tak długo wywoływała autora, dopóki tenże nie pojawił się na scenie. Piękny ten utwór wyszedł już drukiem, i znajduje się w księgarni pp. Gubrynowicza i Schmidta. Po wspólnym objedzie zagajono ostatnie posiedzenie o godz. $^1/_2$7 w sali sejmowej. Przyjęto na niem jednogłośnie statut i jego poprawki, okrom tyczącej się przenoszenia siedziby Związku, o czem już wspomnieliśmy wyżej. Przeciw stałemu umieszczeniu jej we Lwowie, zaprotestował Kraków i kilka straży z zachodu. Posiedzenie skończyło się o godzinie 11$^1/_4$ w nocy okazałą kolacją, przy odgłosie muzyki i licznych toastach. Na przyszły Zjazd Kraków zaprosił zebranych gości. Jako pamiątkę unieśli ze sobą delegaci medal na tę uroczystość wybity, z napisem i godłem związkowem (cztery W ułożone w gwiazdę) i poświęconą Strażom ochotniczym galicyjskim i W. księstwa Krakowskiego scenę dramatyczną „Na Strażnicy“ Wł. Ordona, w umyślnie d'a odjeżdżających wygotowanej odbitce.

Odkrycia.

— Società Sondiaria Italiana, zajmująca się odgrzebywaniem świątyni Minerwy Medica, w Rzymie, odkryła kilka grobowców ozdobionych malowidłami wielkiej wartości artystycznej. Malowidła te udowodniają mianowicie, o czem dotąd wątpiono, że Rzymianie uświetniali w ten sposób czyny heroiczne i zajmowali się gorliwie wielką cywilizacją Etrusków.

— Holenderski malarz Haanen, odkrył w jednym z niemieckich kościołów Madonnę z dzieciątkiem, malowaną przez Van-Dycka, którą powszechnie uważano za straconą. Właściciel chce ją odstąpić za 17.000 guldenów.

Nekrologja.

† Aleksander Wężyk Groza, poeta ze szkoły ukraińskiej, autor *Trzech palm*, *Mozaik kontraktowych*, *Sonetów* i Misterjum *Twardowski*, zmarł na Ukrainie w Chalaimgródku.

† Dnia 27 października rb. zmarł w Warszawie August Jeske, gorliwy pracownik w gałęzi literatury padagogicznej, tak mało u nas uprawianej. O szeregu jego dziełek, wydanych pod napisem „Systematyczny kurs nauk“ pisaliśmy obszerniej w części bibljograficznej.

† Dnia 6. bm. po długiej chorobie, zmarł Wojciech Korneli Stattler, malarz, były profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i Szkoły sztuk pięknych w Krakowie, liczący lat 75 wieku. Prace jego malarskie należą po większej części do obrazów religijnych.

ROZMAITOŚCI.

— Jednym z najstraszliwszych obłędów ludzkiego ducha, były niewątpliwie tortury, — inaczej pytką (question) zwane, — a używane przez dawne sądy, już to z okrutnego pociągu do barbarzyńskich kar, już też dla uproszczenia postępowania sądowego, jako środek do wymuszania na podejrzanym lub oskarżonym przyznania się do winy, i zamienienia go tym sposobem co żywiej w winowajcę. Tortury pochodzą jak wiadomo ze Wschodu, gdzie były w użyciu już u Semickich ludów, u Egipcjan, Persów, a następnie u Greków i Rzymian. U tych ostatnich dwóch narodów jednakże tylko niewolnicy im podlegali. Wraz z rozpowszechnieniem rzymskiego prawa, przyjęły się tortury w rozmaitych krajach Europy — a w średnich wiekach z wymyślnem okrucieństwem udoskonalone jeszcze i w kompletny system zamienione zostały. Co zaś było najokropniejsze, to, że zastosowanie ich nie miało prawnych ograniczeń, ale owszem dowolności i nadużyciom pojedyńczego sędziego, jak najobszerniejsze zostawiało pole. Tortury miały jednak pewne stopniowanie. Gdy sąd uważał, że oskarżony jest winnym, ale zacięcie i zuchwale się zapiera, zastosowywano do niego naprzód tak zwane „Territio“ to jest postrach, a następnie dopiero pytkę, czyli torturę, dla wymuszania przyznania się do winy. „Territio“ była podwójna: „Territio verbalis,“ to znaczy że oskarżonego wprowadzano do izby tortur i tam pokazywano mu rozmaite narzędzia męczarni, z objaśnieniem użytku i celu każdego z nich w nożebnie jaskrawy i plastyczny sposób. Jeżeli jednak nie dał się tem zachwiać i obstawał przy zapieraniu się, zabierano się do „Territio realis“ tj. rozbierano oskarżonego i pokazywano na nim, jak na żywym przykładzie, sposób użycia rozmaitych narzędzi, nie sprawiając mu jednak jeszcze bolu, ale wyjaśniając męki, jakim wkrótce ulegnie. Przedstawienia te rzadko chybiały celu; niewinny nawet przerażony obrazem mąk takich, wolał się przyznać do mniejszego występku lub zbrodni, aniżeli spróbować tortur. Ta ostatnia okoliczność zdaje się, że już wówczas uderzyła bardziej ludzkich i głębszych prawodawców, i skłoniła do postanowienia, iż drugiego rodzaju postrachu owych samych tortur użyć wolno tylko przy zbrodniach nadzwyczajnych, i to gdy wszelkich dowodów braknie, a ciężkie i ogólne podejrzenie w oskarżonym wskazuje winowajcę. Okrom tego, rozstrzygnąć musieli pierwej biegli w prawie mężowie, czy podstawy podejrzenia są wystarczające, rozpatrzyć cały stan sprawy i dozwolić oskarżonemu, aby przytoczył wszystko, co zdoła, na swoją obronę. Ograniczenia te jednakże, zjawiły się dopiero w późniejszych czasach. Pierwej, a szczególniej u narodów szczepu romańskiego, używano tortury bardzo często i bez wszelkiego względu, oddając ją zupełnie do rozporządzenia i wymierzenia pierwszemu lepszemu sędziemu, który częstokroć tysiącem rafinowanych sposobów straszliwe jej męczarnie podnosił. Jednym najczęściej używanych i stosunkowo jeszcze najlżejszych rodzajów tortury była tak zwana Huśtawka, czyli chwilowe powieszenie. Do jednego lub do obu ramion przywiązywano oskarżonemu linę, którą następnie za pośrednictwem bloku nawijano na wałek utwierdzony pod sufitem izby męczarni. Pierwszy raz zawisał męczony w ten sposób człowiek, bez inszego ciężaru, okrom własnego ciała. Skoro doszedł do góry, puszczano go nagle na dół, a potem znowu wciągano — i to po kilka razy, — co rozumie się muskuły i ścięgna na straszliwe narażało męki. Gdy jednakże nerwy i siła ducha oskarżonego oparły się temu pierwszemu zastosowaniu huśtawki, wówczas zaostrzano ją jeszcze, przez przywieszenie pacjentowi do nóg kosza, obciążanego powoli kamieniami od czterech do pięćdziesięciu funtów niekiedy — z którym poddawano go znowu powyższej operacji huśtania. Spowodowane tym sposobem bole, były tak straszliwe, że rzadko który z dręczonych wytrzymał je pięć minut, nie oskarżywszy się o wszelkie możliwe, dające się pomyśleć występki i zbrodnie. Dwukrotne zastosowanie tej tortury pozostawiało pacjentowi nieuleczalne kalectwo, lub na powolną śmierć z wycienczenia go skazywało. Gdy z końcem piętnastego stulecia bardziej humunitarne poglądy i obyczaje rozpowszechniać się zaczęły, i tortura uległa duchowi czasu. Ustalono prawnie jej rodzaj i czas trwania; oraz nakazano z góry spisać wszytkie pytania, mające być zadanemi pacjentowi. Żaden oskarżony nie mógł być dłużej torturowanym, jak godzinę, i ani jedno pytanie nad pzzepisane prawem zadawane mu być nie miało. W Niemczech pierwszym stopniem tortury, było biczowanie, przy rozciągnięciu i sztucznem wyprężeniu ciała oskarżonego. Za narzędzie służyły tu skórzane bicze „kotami“ zwane, złożone z kilkunastu rzemieni, bądźto węzłowatych, bądź zakończonych ołowianemi kulkami, ostremi kawałkami żelaza, szponami z drutu, — bądź też przeplecionych tylko żelaznym drutem. Kto kiedykolwiek widział jednę z zachowanych dotąd izb tortury, przypatrzeć się mógł najrozmaitszym stopniom takiego biczowania, w całym majestacie ich okrucieństwa. Do pierwszego także stopnia tortury, należały szruby na wielkie palce u rąk, któremi te palce, lub też wszystkie u ręki ściskano i gnieciono w karbowanych, albo nabitych tępemi kolcami śrubsztakach. Drugim stopniem było silne ściągnięcie rąk i nóg włosiennemi sznurami, — gniecenie nóg za pośrednictwem tak zwanych hiszpańskich butów; dalej ściskanie złożonych na krzyż wielkich palców u ręki i u nogi za pośrednictwem pras śrubowych, zwanych hiszpańskiemi kozłami. Przy zastosowaniu trzeciego stopnia tortury, rozciągano ciało z wyciągniętemi w tył rękami za pomocą dźwigni, lub zadawano powyżej już opisaną huśtawkę, czyli „Estrapadę.“ Każdy zaś z powyższych stopni zaostrzano jeszcze częstokroć, przez przypiekanie rozpalonem żelazem boków, ramion, miejsc za paznogciami u rąk i nóg, lub też przez zawieszenie nad naczyniem z węglami, których żar działał na podeszwy, wreszcie przez szarpanie i szczypanie rozpalonemi obcęgami, i przez inne tym podobne roskosze. Odzieniegdzie sądy nawet poczytywały sobie za zaszczyt wynalezienie jakiegoś nowego przyrządu męczarń; takim był sąd w Regensburgu, którego izba tortur w ratuszu jest jedną z najpełniejszych i najgodniejszych widzenia. Obraz to zdziczenia i okrucieństwa ówczsnego prawodawstwa — od którego stają włosy na głowie! Najbardziej znane i używane z narzędzi tortur są następujące: Tak zwana „pomorska czapka“ — włosienny lub węzłowaty powróz, albo też łańcuch, którym obwinionemu okręcano czoło i za pomocą śruby ściągano. „Kołyska“ — półbeczek wewnątrz nabity przytępionemi kolcami z metalu lub twardego drzewa, w którym rozebranego i za pomocą powrozów wyprężonego pacjenta kołysano i taczano. „Szpikowany zając“ — żelazny wałek z ostremi hakami, po których obwinionego z kolei na dół i w górę ciągnięto. „Pierzyna“ — ogromny stół, przytępionemi goździami nabity, służacy do spoczynku pacjętowi po związaniu mu rąk i nóg i obciążeniu ich ciężarami. Wreszcie tak zwana „żelazna dziewica“—najeżona kolcami żelaznemi postać ludzka, chwytająca oskarżonego w uściski i jednocześnie wbijająca mu w ciało tysiąc ostrzów. Narzędzie to, którego zastosowanie „pocałunkiem dziewicy“ nazywano, — używało się jednak częściej jako środek postrachu, aniżeli jako rzeczywista tortura. — We Francji, gdzie każdy Parlament lub sąd wyższy, miał specjalny rodzaj tortur, — używano także jeszcze prób ogniowych i wodnych. Przy pierwszych zawieszano torturowanego za nogi, głową na dół nad naczyniem z żarzącemi się węglami, tak że twarz jego i ręce piekły się dosłownie. Wodna zaś tortura, najboleśniejsza i najniebezpieczniejsza zasadzała się na tem, że zawieszano pacjenta, wyprężonego o ile możności, wolno w powietrzu, za ręce i za nogi, pod lędzwie mu tylko z pniaka dając podporę — a następnie włożywszy mu róg w usta, mający służyć za puhar, i ścisnąwszy nos ręką, lub żelazną klamrą, wlewano weń dziesięć a przy ostrzejszem badaniu do dwudziestu kwart wody, które musiał połknąć, jeżeli nie chciał się udusić. Inny rodzaj męczarni, we Włoszech „veglia“ zwany, polegał na tem, iż oskarżonego za pomocą powrozów przeciągniętych przez cztery wbite w ścianę żelazne pierścienie, rozciągano w powietrzu za ręce i nogi, dając mu za jedyną podporę zaostrzony pal dotykający wyższego końca kolumny pacierzowej, co mu sprawiało tak przerażający ból, iż musiano mieć doktora pod ręką, dla wymiarkowania, kiedy zdjąć pacjenta pod grozą śmierci. Szczególniej w sławnych procesach czarownic tortury odegrały wielką rolę, i najbardziej przyczyniały się do utwierdzenia wiary w czary. Jakaż bowiem biedna stara kobieta wśród takich męczarń mogła się nie przyznać do wszystkiego, czego od niej żądano, — byleby się ocalić? Niezmierną więc było zasługą nowych idei i nowych ludzi, że położyli koniec tej ród ludzki wieczyście hańbiącej kaźni. Fryderyk II zniósł tortury u siebie w 1740 r. po nim Saksonja i Danja w 1770, Szwecja w dwa lata później, Anstrja w 1776, Francja w 1780, Rossja w 1801, Wirtemberg w 1806, Bawarja w 1807 roku. W Anglji, gdzie właściwie tortury zaprowadzono dopiero w czasach Reformacji, w skutek konserwatyzmu narodowego, utrzymały się one stosunkowo najdłużej. W Baden i Maeklenburgji nigdy ich urzędowo nie zniesiono. Dzisiaj nie istnieją nawet w Turcji. W tej straszliwej historji tortur, najmniejszą rolę ma Polska, rafinowanych wymyślnych męczarni nie podobna prawie odszukać śladu w dziejach naszego sądownictwa, a w drugiej już połowie szesnastego wieku czarownice nawet chyba tylko zabobon ludowy dręczył jeszcze i pławił.

— Wiadomo, że zmarły w r. 1791 w Wiedniu Mozart, pochowany został na cmentarzu St. Marx w spólnym grobie ubogich, który nastepnie przekopano; tajemnica przeto zupełna okrywa dotąd śmiertelne szczątki wielkiego kompozytora muzycznego. Wiedeński „Fremdenblat“ dopiero, dowiedział się w tych czasach, że radca dworu profesor Hyrtl w Wiedniu posiada czaszkę Mozarta, którą jako relikwię prawdziwą pod szkłem chowa w swym domu. Historja tej czaszki ma być następująca: „Profesor Hyrtl odziedziczył ją po swym bracie miedziorytniku, który znowu otrzymał ten szanowny szczątek wielkiego człowieka, od grabarza w St. Marx, a to przy następującej sposobności. Około r. 1830 zmarli rodzice Hyrtlów. Brat profesosora, który tkliwie kochał rodziców, przez długi czas bardzo częstym bywał gościem na cmentarzu. Podczas tych przechadzek poznał się bliżej z grabarzem, który wnet bardzo go polubił. Przyjaźń trwała lat kilka, aż grabarz ciężko zachorował i Hyrtl odwidził go w domu. Chory przewidując rychły kres życia, opowiedział młodemu przyjacielowi swemu, że przed wielu, wielu laty, gdy był jeszcze młodym chłopcem, słyszał w katędrze św. Szczepana mszę, napisaną przez niejakiegoś Mozarta, która głębokie wywarła wrażenie na nim. Nigdy odtąd nie zapomniał nazwiska kompozytora, a gdy w kilka lat później nieliczny orszak żałobny odprowadzał na cmentarz trumnę Wolfganga Mozarta, muzyka, domyślił się czyj to pogrzeb. Trumnę złożono do wspólnego grobu, a grabarz sam wspominając sobie niezapomnianą mszę, pomógł przysypać ją ziemią; zapamiątał jednak, jak w pośród innych trumien złożoną była w ziemi. Upłynęło znów lat kilka i zarząd cmentarza otrzymał rozkaz przekopania starych grobów, aby zrobić miejsce świeżym. Przyszła kolej i na mogiłę, w której złożone były w zapomnieniu świata śmiertelne szczątki kompozytora mszy, wykonanej niegdyś w kościele św. Szczepana. Grabarz spełniając swój obowiązek, rozkopał grób, poznał trumnę Mozarta i wyjął z niej czaszkę, którą od tego czasu jak świętość jaką przechowywał w swym domu, a później powierzył ją przyjacielowi swemu w upominku. Hyrtl otoczył ją tą samą czcią, jakiej doznawała w domu grabarza. Profesor Hyrtl później porównywał ją z maską pośmiertną Mozarta i uznał za prawdziwą. Ma on zamiar zapisać ją w testamencie zakładowi Mozarteum w Salzburgu, miejscu urodzenia wielkiego kompozytora.

Odpowiedzi Redakcji.

Z. M. w B. „Ismaila“ kończy się w jednym z przyszłych numerów. Żądane książki wyszlemy.

M. B. we Lwowie. Tom II „Tygodnia“ kończy się w rb. W tomie III będą pokończone wszystkie prace bez wyjątku i te trzy tomy będą tworzyły pierwszą serję. Serje następne będą także zawierały po trzy tomy.

Treść Nr. 46.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).